Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca ul. św. Anny 12 Do nabycia w kioskach „Ruchu" Cena 20 gr.

ECHO SPOŁECZNE

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM I PRACOWNICZYM

NR. 3 WARSZAWA — 1 LUTY 1936 R. ROK IV

P. HULKA-LASKOWSKI

Człowiek pracy

Istota bezrobotności

Przed paru laty bezrobotność całkowitą i bezrobotność częściową wyrażano przy pomocy liczb miljonowych. Pisma francuskie poświęcone zagadnieniom społecznym ustaliły na podstawie danych pochodzących z Międzynarodowego Biura Pracy istniejącego przy Lidze Narodów w Genewie, że skutkiem bezrobotności cierpi bezpośrednio około 60 miljonów ludzi. Jeśli wziąć pod uwagę, że zaludnienie ziemi dochodzi do 2 miljardów, to odsetek bezrobotnych będzie w gruncie rzeczy nikły, bo wyniesie zaledwie 3%. Gdy natomiast weźmiemy pod uwagę fakt, że bezrobotność zawisła przedewszystkiem nad Europą i Ameryką Północną, czyli nad krajami pod względem cywilizacyjnym najbardziej reprezentacyjnemi, to odsetek bezrobotności wzrośnie w czwórnasób. Liczba ludzi dotkniętych klęską bezrobotności wyrazi się mniej więcej liczbą mieszkańców Rzeszy Niemieckiej.

Wyobraźni chcącej ułatwić sobie zrozumienie obecnego bezrobocia można podsunąć obszar Niemiec i ich ludności i przekreślić go niejako pod względem gospodarczym. Byłoby to jednak zbyt wielkie i dezorjentujące uproszczenie, gdyż bezrobotny wprawdzie nie wytwarza, ale tem niemniej żyje i — spożywa, chociaż spożywa w mierze ograniczonej. Inaczej mówiąc: bezrobotni nie pracują, ale żyć muszą, czyli że żyją kosztem tych co jeszcze pracują. W dalszym wywodzie będzie się to przedstawiało tak, że miljony bezrobotnych nie wytwarzają wprawdzie nic, ale to co wytwarza reszta pracujących wystarcza dla tych co pracują i dla tych, co nie pracują.

Kiedy przed trzema bodaj laty napisałem dłuższy artykuł o paradoksach dzisiejszej gospodarki, o katastrofie bezrobotności i jej skutkach, z sekretarjatu Międzynarodowego Biura Pracy przy Lidze Narodów w Genewie otrzymałem bardzo ciekawy list, uzupełniający paradoksy współczesnego życia gospodarczego szeregiem paradoksów publicystycznych. Autor tego listu wywodził, że bezrobotność nie jest klęską i katastrofą, ale ideałem, bo duch ludzki nie przestaje wysilać się nad wynajdywaniem maszyn, które pracę człowieka redukują do minimum. Końcowym etapem maszynizacji świata może być tylko całkowita bezrobotność. Maszyna nietylko może, lecz musi i powinna wyłączyć pracę człowieka. Ostatnimi robotnikami będą na świecie budowcy maszyn.

Dalsze wywody mego korespondenta są już wybitnie paradoksalne. Uważa on, że jeśli praca jest niejako legitymacją prawa do życia w społeczeństwie pracujących, to bezrobotność w dzisiejszych warunkach jest raczej przywilejem niż upośledzeniem. Bezrobotny nie pracując, otrzymuje część tego, co wytworzył człowiek pracujący. To jest niesprawiedliwe wobec pracujących. Z drugiej strony jednak ludzie pracujący zagarniają także te części pracy, które powinny przypaść ludziom obecnie bezrobotnym. Innemi słowy ta ilość pracy, jaka jeszcze istnieje po uruchomieniu niezliczonych maszyn, powinna być podzielona między wszystkich ludzi zdolnych do pracy, choćby tej pracy miało starczyć jedynie na dwie godziny dla każdego.

Uprzedzając objekcje, że przy takiem konsekwentnem dzieleniu pracy musiałby się z natury rzeczy obniżyć gospodarczy i kulturalny poziom życia ludzi pracujących, korespondent mój wskazuje na znane już oddawna fakty kryzysów w poszczególnych dziedzinach wytwórczości ludzkiej. Co to jest kryzys przemysłowy? Jest to nasycenie lub też przesycenie rynku wytworami pewnych gałęzi przemysłu. Kryzys we włókiennictwie czy też w metalurgji, to właśnie dowód, że tkacze natkali zadużo tkanin, a metalowcy nawytwarzali zadużo wyrobów metalowych. Tak wygląda to w teorji, bo nawet podczas najostrzejszych kryzysów włókienniczych bywa aż nadto ludzi chodzących w łachmanach, a co do wyrobów żelaznych czy stalowych, to nigdy nie było ich tak dużo, aby wszyscy mieszkańcy ziemi posiadali dość rur wodociągowych, szyn kolejowych, żelaznych ogrodzeń itd. itd.

Dzisiaj kryzys obejmuje coraz szersze gałęzie wytwórczości. Naczytaliśmy się już do przesytu o tem, jak to trusty producentów zboża w Ameryce płacą premje swoim członkom za nieobsiewanie pól, a nawet za niszczenie pszenicy i żyta. Niszczy się też zboże, bawełnę, banany, kawę, ogórki w takich masach, że to poprostu przeraża. W Australji hodowcy owiec wybili 800.000 sztuk tych pożytecznych zwierząt, aby przez pomniejszenie podaży podnieść cenę mięsa i wełny, w Meksyku producenci bananów płacili robotnikom za niszczenie olbrzymich zapasów, a nawet w Czechosłowacji topiono w Dunaju masy ogórków kiszonych, a w Holandji wrzucano do morza miljony cebulek kwiatów przeznaczonych na światowy eksport.

Gdzieś po świecie rozproszeni nędzarze byliby z wdzięcznością przyjęli masy niszczonego zboża, kawy, bananów, setki tysięcy owiec, ale producent wytwarza nie dla rozdawania, lecz dla zarobku. Solidarność wszechludzka nie doszła jeszcze do tego, aby wytwórca sam zasypywał rynki własnemi wytworami i aby obdarowywał miljony tych, którzy mają być jego odbiorcami i nabywcami za gotówkę. Ale ta solidarność przychodzi siłą rzeczy i nic jej nie powstrzyma. Gdy Charles Gide ugruntowywał swoją teorję solidaryzmu wszechludzkiego, podbudowując ją zasadami etycznemi i wymaganiami życia społecznego wołanie jego brzmiało niby głos wołającego na pustyni. Odpowiadało mu echo serc nielicznych.

Dzisiaj jest inaczej. Jeszcze za czasów Ludwika XIV, XV i XVI ludzie pracy ginęli setkami tysięcy z głodu i nędzy. Tysiące bezrobotnych tkaczy włóczyło się z miejsca na miejsce, a państwo, które jaśniało przepychem dworu królewskiego i potęgą administracji, armji i biurokracji, było tak bezwzględne, iż nie troszczyło się wcale o losy ginących z głodu nędzarzy. Rozruchy głodowe były na porządku dziennym i stawały się zjawiskiem już nietylko powszednim, lecz nawet banalnem.

I oto mój korespondent, jakby nawiązując do tych zjawisk dziejowych, powiada, że dziesięciu bezrobotnych, czy stu, czy nawet parę tysięcy ich, mogłoby sobie spokojnie umrzeć z głodu i nikt by im w tem zbyt energicznie nie przeszkadzał. Natomiast setki tysięcy bezrobotnych, miljony i dziesiątki miljonów, to już poważna mniejszość społeczna, z którą trzeba się liczyć. Jeśli racjonalizacja, to jest maszynizacja, pracy pójdzie dalej w tym kierunku, w jakim idzie obecnie, to dzisiejsza mniejszość gospodarcza bezrobotnych stawać się będzie coraz większą, aż wreszcie stanie się większością rządzącą. To brzmi narazie jako dobry żart, ale to jest logiczna konsekwencja pewnych założeń społeczno-politycznych i gospodarczych.

Solidaryzm realizuje się nie na tem tle, na jakiem rozwinąć go usiłował Gide, nie jest on wyrazem dobrej woli i miłości wszystkich dla wszystkich, ale staje się jedną z konieczności życiowych. Jeśli dzisiaj bezrobotni nie giną tysiącami z głodu, chociaż jest ich tak wiele, to nietylko dlatego, iż liczba ich sięga miljonów, lecz i dlatego, że w życiu społecznem daleko więcej jest tego, co ludzi łączy, niż tego, co ich oddziela, rozdziela i przeciwstawia sobie. Gdy obecne zawęźlenia kryzysowe zostaną wyrównane i gdy historycy będą mogli spojrzeć na nie, jako na coś minionego, okaże się zapewne, że nasz przewlekły kryzys stał się początkiem realizacji solidaryzmu. Ten solidaryzm podzieli między miljony pracujących pracę i jej owoce i nie będzie już trustów, które gwoli interesom egoistycznych jednostek niszczą zboże, kawę, bawełnę i wymordowują setki tysięcy owiec, aby — podnieść cenę za swoje produkty.

To minie, minąć musi, i wtedy okaże się, że katastrofalna bezrobotność obecna stała się zaczątkiem nowego lepszego świata.

P. Hulka-Laskowski

Pisma Wielkiego Marszałka
drogowskazem dla Polski

Uchwała Walnego Zjazdu Związku Nauczycielstwa Polskiego:

Ostatni Walny Zjazd Delegatów Nauczycielstwa Polskiego, który obradował w Warszawie w dniach 6 i 7 b. m., wezwał Zarząd Główny Z. N. P., aby przedsięwziął starania u odpowiednich czynników o możliwie najprędsze wydanie pism Marszałka Józefa Piłsudskiego po cenie przystępnej dla najszerszych warstw społeczeństwa.

Wszystkie bibljoteki szkolne winny być zaopatrzone w pisma Budowniczego Państwa. Nauczycielstwo związkowe chce zanieść te pisma pod każdą strzechę w Polsce, bo z myśli zawartych w nich będzie ono czerpało moc wytwarzania w walce z rozpętaną reakcją w Polsce.

„Echo Społeczne" uważa za pożądane, aby tego rodzaju uchwały pobierane były jak najliczniej przez organizacje zawodowe i społeczne.

Być może, że te wystąpienia przyspieszą wydanie pism Wielkiego Marszałka w formie jak najbardziej przystępnej dla szerokich rzesz obywateli.

Hołd weteranom
Powstania Styczniowego

W dniu 22-gim stycznia r. b., jako w 73-cią rocznicę wybuchu Powstania Styczniowego, odbyły się w Warszawie piękne uroczystości, poświęcone zarówno pamięci zmarłych uczestników tego Powstania, jak i pozostającym przy życiu czcigodnym weteranom styczniowego aktu wielkiej miłości Ojczyzny i poświęcenia.

„Echo Społeczne", jako organ prasowy świata pracowniczego, ma honor złożyć wyrazy głębokiego hołdu i czci weteranom Powstania Styczniowego, których Polska Niepodległa otacza serdeczną miłością i najgłębszym szacunkiem.

Utrwalmy sobie mocno w pamięci słowa Józefa Piłsudskiego, jakiemi zakończył w maju roku 1912 swe wykłady krakowskie o „Zarysie historji militarnej Powstania Styczniowego": — „...I sądzę, że gdybym miał przed sobą ludzi z tamtych czasów, to powiedzieliby mi tak, jak ja to sobie nieraz sam mówię: Zginęliśmy niedarmo i nauka dla was ze śmierci naszej płynąć może...".

Prawo walki o byt jest prawem istnienia życia w świecie.

J. Piłsudski.

JAN OLSKI

Uspołecznienie życia zbiorowego, solidarność i odwaga cywilna

Gdy rzeczywistość dokuczy już ponad miarę boleśnie, zbiedzony człowiek szuka ukojenia niezawsze w pociągających fata-morganach; bywa i tak, że przychodzą mu na pamięć jego przeżycia, jeszcze cięższe i bardziej jeszcze dokuczliwe, aniżeli smutna teraźniejszość.

Minęło lat dwadzieścia z okładem od dnia, w którym otworzyły się przede mną wrota obozu jeńców wojennych w północnych Niemczech, aby umożliwić mój powrót pod eskortą do Polski, z której wypędził mnie przed laty bat carskiej ochrany.

I przeżyłem któregoś wieczoru szmat mej wegetacji jenieckiej, kalejdoskop wrażeń żołnierza, a następnie niewolnika, — wrażeń, które — jak gdyby mozajka życia na czole wypalona — nie ulegną nigdy zatarciu.

Ukazywały się w tym kalejdoskopie obrazy pełne grozy i lęku. Oto materjalizuje się te kilka dni i nocy bezsennych w podziemiach twierdzy, gdzie samotny w celi i głodny, oczekiwałem na wyrok sądu wojennego. I przebieg badania i posiedzenie sądu i wyrok, wydany przez ludzi w mundurach, których tragedją, małującą się na ich twarzach, było to, że wyrok nie skazywał więźnia na rozstrzelanie. A dalej odżył mi w ustach smak kawałka czarnego chleba, jaki otrzymałem po trzech, czy też czterech dniach postu, posmarowany dymem z papierosa, udzielonego łaskawie przez klucznika. A dalej transport pod bagnetami na dworzec kolejowy, wetknięcie mnie kolbami karabinów do pociągu, przepełnionego jeńcami wojennymi, których już od kilku dni obwożono po większych stacjach tej właśnie prowincji cesarskich Niemiec, aby pokazać ludności nowe żywe dowody zwycięstwa i umożliwić jej wydanie z siebie dostatecznej ilości obelg i plwocin, co zastąpić miało pewne dotkliwe, a przymusowe, ograniczenia aprowizacyjne dla ludności cywilnej.

Ponownie przeżyłem te wszystkie przepisowe i dodatkowe prywacje i udręki moralne i fizyczne, jakimi ów obóz wojenny darzył swych mieszkańców. A byli ci mieszkańcy, okresami, bardzo liczni, gdyż liczba ich przekraczała w tysiącach dwa dziesiątki i bardzo różnego pochodzenia i barwy skóry. Od despotycznego Anglika poczynając, współżyliśmy, my Polacy, w obozie tym z Hindusami, Gurkhami, Francuzami, Arabami, Marokańczykami, Belgijczykami (Wallonami i Flamandami), Rosjanami (wszystkich niemal szczepów), wreszcie z Serbami.

Istna wieża Babel, okręcona mocno drutem kolczastym!

A jednak... Było zjawiskiem wspaniałem i jakże pouczającem właśnie to, że owa masa jeniecka, wielojęzyczna i różnowyznaniowa, uznawała w całej rozciągłości i bez zastrzeżeń — świadomie lub podświadomie — potęgę i wpływ na bieg wypadków w obozie uspołecznienia życia zbiorowego, solidarności, graniczącej z poświęceniem, wreszcie odwagi cywilnej, równej jakiejś ekstatywnej zawziętości, bez granic i opamiętania.

Na dane przez starszyznę jeniecką hasło tysiące jeńców stało godzinami w szyku linjowym, bez ruchu, na deszczu i śniegu, obojętni na rozkazy i groźby i bicia straży obozowej. Stali tak długo, aż odwieszono towarzyszów niedoli, karnie zawieszonych na palach. Jedno słowo międzynarodowej rady jenieckiej powstrzymywało cały zgłodniały i ziębnięty obóz od tknięcia kotłów z jadłem, dopóki dowódca obozu nie usunął kucharzy, wyznaczanych spośród straży obozowej, okradających bezczelnie psie pożywienie jenieckie. Taż sama rada sprawiła, że kilku przedsiębiorczych jeńców, którzy poczęli zarabiać na dostarczaniu nowoprzybywającym partjom jeńców, głodnych i wycieńczonych, t. zw. chleba z kartofli, zmieszanych z mąką drzewną i t. zw. marmolady, t. j. marchwi lub buraków zmieszanych z melasą, — sanitarjusze obozowi wynieśli z baraków w stanie niezdolnym na długie miesiące do siedzenia.

Szczytem dumy jenieckiej było okazać w jakiejkolwiek bądź formie pomoc jeńcom, uciekającym z obozu, choćby nawet miało to kosztować zawieszenie na palu, ciężkie roboty lub głód wielodniowy.

Ogólną i wspólną wolą i wysiłkiem jeńców powstawały i działały szkoły obozowe i biblioteki, grupy sportowe i zespoły teatralne; otaczano opieką prace malarzy i rzeźbiarzy, muzyków i piosenkarzy. Wyznaczone zespoły jeńców korespondowały z rodzinami jeńców - analfabetów, a inni znowu oragnizowali grupowe rozmowy i czytania tak, jak to się dzieje dzisiaj w świetlicach i przy ogniskach harcerskich. Jeszcze inni otaczali braterską opieką chorych i konających, przyjmując od tych ostatnich wypowiadane słabnącym już głosem słowa pożegnania dla najbliższych, a tak w tej chwili dalekich. Chór jeniecki zastępował egzekwje, a żałobny mówca żegnał zmarłego w jego ojczystym języku, dodając słowa otuchy i siły do wytrwania pozostałym przy życiu rodakom zmarłego.

Całą swą energję, wiedzę i doświadczenie życiowe uczestnicy samozwańczej i zakonspirowanej rady jenieckiej wykorzystywali w tym jedynie celu, aby utrzymać na najwyższym, możliwym w tych warunkach do osiągnięcia, poziomie moralną odporność jeńców na nędzę i poniewierkę oraz, aby przez dowody żelaznej solidarności i odwagi cywilnej zabezpieczyć ich od ataków wściekłości i bestjalstwa, ze strony straży obozowej, rosnących w miarę przedłużania się wielkiej wojny oraz wzmagania się głodu i nędzy w rodzinach żołnierskich.

Z dumą i zadowoleniem stwierdzić należy, że cała akcja opiekuńcza, oparta wyłącznie na uspołecznieniu obozowego życia zbiorowego, na solidarności jenieckiej i wreszcie na odwadze cywilnej przymusowych mieszkańców tej połaci piachu, otoczonej zwojami drutu kolczastego i strzelnicami, sprawiła, że cmentarz obozowy przyjął na wieczne przechowanie szczątki setek tylko, a nie tysięcy, skołatanych niewolą i nędzą istnień ludzkich.

Tak się oto działo wśród niewolników, wiodących swój jakże nędzny żywot na obcej, wrażej ziemi!

**

A teraz zwróćmy się myślą ku teraźniejszości, do Niepodległej Polski, do naszego społeczeństwa, w szeregi olbrzymie świata pracowniczego i obserwujmy skrzętnie wszelkie objawy uspołecznienia pracowniczego życia zbiorowego, solidarności zawodowej, wreszcie odwagi cywilnej zespołów i jednostek pracowniczych...

Co wówczas stwierdzimy?

**

Prześladuje mnie wizja: Oto odbywa się uroczysty akt przekazania praw i obowiązków obywatelskich przez obecne pokolenie pracownicze naszym następcom. I wówczas to padają z ich strony pytania:

Dlaczego nie walczyliście o lepsze dla nas Jutro?

Dlaczego byliście tylko lekkomyślnymi zjadaczami mizernego chleba powszedniego, dla których wysiłek zbiorowy w imię walki o szlachetność i uczciwość Pracy i o Sprawiedliwość Społeczną był daleki i obojętny, niewygodny i obcy?

Dlaczego wy, bojownicy o wolność i niepodległość naszej Ojczyzny, dopuściliście do załamania waszych silnych ongiś charakterów i doświadczonej woli tam, gdzie szło o trwałą budowę Polski Pracy?...

Nasze pokolenie opuściło wówczas głowy, utkwiło spojrzenia w ziemię i zastygło w milczeniu...

Jan Olski

HENRYK RYGIER

W ogniu dyskusji o Izbach Pracy

Djagnoza choroby, jaką przeżywa ludzkość, bynajmniej nie jest trudna do postawienia: nawet w codziennych, nieuczonych rozmowach, nie myśląc często o tem, stawiamy ją przy każdej niemal okoliczności.

Weźmy kilka przykładów z pierwszego lepszego dnia. Znajomy lotnik komunikuje nam, że dzięki najnowszym udoskonaleniom moglibyśmy przebyć aeroplanem dystans Warszawa — Berlin prawie już w tym samym przeciągu czasu, ile zużywamy go na przejazd tramwajem z Czerniakowa na Żoliborz. Wieczorem, po pracy siedząc przy radjo, słuchamy przemówienia premjera Baldwina, o królu Jerzym V w tym samym prawie momencie co i mieszkańcy Londynu, Paryża i Addis Abeby. A jednocześnie widzimy, że granice między państwami stały się znacznie trudniejsze do przebycia, niż przed wojną, i że idea samowystarczalności państw i nacjonalizm święcą triumf. Choć znów z drugiej strony pod wpływem rozwoju środków komunikacyjnych, a zwłaszcza komunikacji aeroplanowej granice Anglji przeniosły się nad Ren, a stosunek jej do Europy uległ zdecydowanemu zbliżeniu.

W pokrewną, a jakże znów niezgodną z poprzedniemi tezami dziedzinę wprowadza nas w czasie debaty sejmowej nad bezrobociem poseł Tomaszkiewicz: „Gdybyśmy mogli przeprowadzić inwestycje, używając produktów po cenach eksportowych, a zastosowali możliwość pracy w naturze, to moglibyśmy w wielką robotę" i oczywiście zwiększylibyśmy liczbę zatrudnionych w Polsce. Jakby w odpowiedzi na to czytamy uczone wywody, że dla utrzymania stałej waluty i zdobycia podkładu złotego musimy eksportować produkty i zawartą w niej pracę polską poniżej wszelkiej kalkulacji.

Ponieważ widzimy, że pomimo naszych ofiar na rzecz eksportu i pomimo zawieszenia spłat niektórych długów zagranicznych zapas złota i walut spada w Banku Polskim (około miljarda dwustu miljonów w 1929 r. i około 470 miljonów obecnie), przeto rozmyślamy, czy dla zrealizowania pięknej myśli posła Tomaszkiewicza nie dałoby się zużytkować tak usilnie przeprowadzanej idei samowystarczalności i zastosować ceny t. zw. eksportowe nie tylko dla zwiększenia zapasu martwego złota, ale właśnie dla zwiększenia zatrudnienia nędzy polskiej. Lecz oto komunikują nam, że postępując tą drogą wpływać będziemy ujemnie na politykę cen, a więc i zatrudnienia.

Inny przykład. Prasa podaje wiadomości o kolosalnych ilościach niszczonych artykułów żywnościowych i o zawrotnej liczbie zgonów z głodu. Wiemy, jakie są możliwości produkcji obuwia, ubrania, materjałów budowlanych, a naokół siebie widzimy ludzi źle ubranych lub sypiających pod miastami. Obserwujemy kolosalny rozwój techniki, i w niektórych gałęziach produkcji nawet zbędność pracy robotnika, a jednocześnie nie może uzyskać sankcji międzynarodowa konwencja o 40-godzinnym tygodniu pracy. Pracownicy umysłowi odsiadują bezpłatnie niekończące się nigdy pobiurówki, a ich koledzy nie mogą znaleźć zatrudnienia.

Wszyscy to doskonale znamy, nietylko to, ale setki innych podobnych faktów. I znamy koronę tych najróżnorodniejszych nonsensów i sprzeczności — bezrobocie całkowite i częściowe już nie dziesiątków, ale setek miljonów ludzi na świecie.

Weźmy jeszcze bezpośredni przykład z życia świata pracy. Z jednej strony jesteśmy wciąż w warunkach bezwzględnej zależności od naszych posadodawców, od których decyzji zależy prawie bezapelacyjnie los pracownika i jego rodziny, a z drugiej, jesteśmy pełnoprawnymi, nawet lepszymi może od innych obywatelami, gdy chodzi o podatek krwi dla obrony państwa, o obciążenia podatkowe lub o dobrowolne ofiary na rzecz ratowania skarbu. W stosunku do zakładów pracy i w ramach produkcji sytuacja nasza nie tak znów daleko odbiega od okresu niewolnictwa, a obok tego widzimy bogaty rozkwit życia społecznego, — dawniej nieznanego, — stowarzyszeń, spółdzielni, oświaty powszechnej, szkolnictwa średniego i wyższego, oraz rozszerzenia na wszystkich bez wyjątku obowiązków obywatelskich i powinności wojskowej.

Zdrowy rozsądek normalnego obywatela, niezawikłanego w arkana wiedzy tajemnej, zwanej „sztuką" rządzenia, mąci się od tych sprzeczności, które, jak w każdym okresie przełomowym, są właśnie źródłem naszych nieszczęść. Krótko mówiąc, żyjemy jednocześnie w dwóch różnych epokach: w zakresie udoskonaleń technicznych zrobiliśmy olbrzymi skok naprzód, natomiast w zakresie kultury i pojęć, a zwłaszcza organizacji życia społecznego, tkwimy w przeżytkach, ponieważ kolosalny rozwój techniki, której prawie wyłącznie poświęcił się wiek XIX, znacznie, wprost nieskończenie przewyższył postęp duchowy ludzkości.

W związku z tem wyrósł kult dla maszyny i mechanizacji życia i lekceważenie w stosunku do człowieka. Autokratyczne metody rządzenia i organizowanie życia na rozkaz wyciskają powszechnie piętno samorządowości.

W tych warunkach, zwłaszcza powszechnej biedy, tylko góra, izolowana od szerokich rzesz społecznych, może czuć zadowolenie ze swej władzy wprost nieograniczonej. Doły nie wykazują tego zachwytu i sądzą, że nie byłoby tak źle, jak jest, gdyby każdy obywatel mógł wnieść swój w dostępnym mu stopniu twórczy wkład do wspólnego dobra.

Jako reakcja musiała zbudzić się idea gospodarki planowej w tym sensie, aby dążyć do wyrównania tych licznych rozbieżności między poszczególnemi dziedzinami społecznemi i aby zapoźnione w możliwie szybkim tempie dociągnąć do poziomu dalej posuniętych. Dłużej bowiem już nie do zniesienia jest sytuacja, aby życie zbiorowe, które musi być wyrazem harmonji i syntezy, przedstawiało się, jako nieskończona sieć biegnących obok siebie dróg, wzajem o sobie nie wiedzących. Wołanie o syntezę, o plan konstytucyjny, o wspólność celów, — słowem o t. zw. ideał epoki staje się coraz powszechniejsze.

Dopóki nie zostanie to osiągnięte, dopóki nie zasada syntezy, lecz **zasada sprzeczności** będzie podstawą **życia zbiorowego**, dopóty nie posiądziemy tej równowagi, jakiejś nowej, nam jeszcze nieznanej, która znów na pewien okres czasu wprowadzi ludzkość w warunki znośnego bytowania.

I konsekwentnie nasuwa się myśl, czy nie najrozumniejszym wydatkiem byłoby umieszczenie w budżetach państw poważnych sum na przeprowadzenie badań, gruntownych, ścisłych, objektywnych nad obecną strukturą życia i jego ułomnościami oraz nad tendencjami rozwojowemi rodzącego się ustroju. Ale przywykli do traktowania polityki państwowej, społecznej i gospodarczej, właśnie jako „sztuki", oraz przesiąknięci zasadą liberalizmu, że życie samoczynnie reguluje się, żałujemy na tę jedną z najdonioślejszych akcyj pieniędzy, choć zaoszczędziłyby one innych, nieraz nieprodukcyjnych wydatków.

Wobec nieznajomości naszego życia, — a kto z zobowiązanych do tego zrobił wysiłek, aby życie to poznać? — i wobec braku podstaw do rozumnego oceniania budzących się potrzeb tej lub owej grupy społecznej, ustosunkowanie się do wysuwanych żądań może być oczywiście tak sprzeczne, jak obserwujemy to choćby obecnie w stosunku do zasad, na jakich należy oprzeć organizację i zakres uprawnień izb pracy — samorządu świata pracy.

Z poprzedniego mego artykułu na ten sam temat (Nr. 2 Ecah Społecznego) czytelnik dowiedział się, że urzędnicy Ministerstwa Opieki Społecznej, opracowujący projekt ustawy o izbach pracy, stoją na stanowisku ograniczania samodzielności izb do minimum i do nadania im kompetencyj wyłącznie opinjodawczych i samopomocowych. Konferencja, zwołana w dn. 7 stycznia r. b. przez Ministerstwo O. S. w składzie kilkunastu ad personam zaproszonych osób, wyraźnie skrytykowała to stanowisko i domagała się znacznego rozszerzenia uprawnień izb pracy. Zorganizowany świat pracy wreszcie stawia żądania znacznie szersze, domagając się, aby samorząd był istotnym samorządem.

Henryk Rygier.

(c. d. n.)

JÓZEF WASOWSKI

Przekroczone granice

Mówimy o różnych udrękach dzisiejszego życia, że trzeba je znosić cierpliwie, zwłaszcza wtedy, kiedy cierpliwości takiej wymaga interes społeczeństwa, narodu, państwa. Nic bardziej słusznego, niż to wskazanie: interesowi całości trzeba się podporządkować, wymagania własne zmniejszyć, a nawet — uzdolnić się do wielu wyrzeczeń.

Człowiek uspołeczniony, ograniczający swe potrzeby, całkiem nawet zmieniający swój tryb życia na korzyść interesu zbiorowego, znajduje moralny ekwiwalent w świadomości i przekonaniu, że społeczność, do której należy, coś na tem zyskuje: mniej zarabiam, lecz przyczyniam się do naprawy skarbu państwa, skromniej żyję, lecz przez to ułatwić mogę sprawiedliwszy podział dochodu społecznego (jeśli tak jest), odmawiam sobie tego i owego, lecz— dzięki podatkom, które płacę, dzięki też ofiarom dobrowolnym — umacniam t. zw. ład społeczny.

Więc ta myśl, ta zasada, która głosi, że trzeba ponosić ofiary dla dobra zbiorowego, jest zasadą słuszną, sprawiedliwą. Co więcej, jest jednocześnie nakazem praktycznym, egoizm bowiem uporczywy, na nic niebaczny, ślepy, doprowadza w końcu do przegranej: życie jednostki nie da się uniezależnić od stanu spraw zbiorowych, wiąże się z nim nierozerwalnie.

Powiadano od dawiendawna: czyń każdy w swem kółku, co każe duch Boży, a całość sama się złoży. Lecz całość wciąż się jakoś złożyć nie chce, choć w swem „kółku" każdy robi, co może. W swojem kółku, w swoim domku... Ale kółko zazębia się o drugie, dziesiąte, setne i tysiączne, a wszystkie zawarte są w wielkiem kole...

Co ci przyjdzie z tego, że jak wolterowski Kandyd, zasiałeś swój ogródek, że rośnie ci twoja kapusta dla radości żołądka i twoje kwiateczki dla rozkoszy oczów, kiedy nadchodzą zzewnątrz niedobre potęgi, niszczą ci twój dobyteku, wciskają się w twoje życie, gną cię, jak wiatr ugina trzcinę?

Co masz z tego, żeś latami całemi budował spokój twego domu, urządzał swoją wyspę szczęścia, kiedy oto rodzi się niepokój świata i rujnuje ci wszystko?

Zależne jest twoje kółko od wielu, wielu kółek innych. O sobie tedy myślisz, kiedy myślisz o nich.

Tak, to sprawa jasna, wątpliwości nie budząca: niemasz ucieczki od rzeczywistości społecznej. Więc też zalecamy sobie troskę o interes całości, wszystkich „kółek" i wielkiego „koła". I poddajemy się żądaniom, dyktowanym przez społeczne, gospodarcze, państwowe konieczności.

×

Lecz każda, najsłuszniejsza zasada może być wypaczona w sposób złośliwy i świadomy, albo bezmyślnie i nieświadomie.

Nie od wszystkich żądać można cierpliwości, ofiary, poświęcenia. Nie do wszystkich zwracać się możemy z nauką o tem, że czasy dzisiejsze wymagają nawet cierpień osobistych.

Nauka taka zamienia się w szyderstwo, kiedy zwracamy się z nią do tych, którzy już cierpią ponad miarę wytrzymałości ludzkiej, a żadnej już ofiary ponosić nie mogą, bo całe życie ich jest jedną, straszliwą ofiarą. Żądanie też cierpliwości, tym ludziom stawiane, byłoby bezwstydną ironią. Wykład zaś o tem, że interes całości wymagać może od nich rezygnacji ze wszystkiego, byłby niemoralny i fałszywy, bowiem ich właśnie położenie z interesem całości nie godzi się, przeciwnie, zagraża mu w stopniu największym.

Wielkie już są obszary cierpień ludzkich, cierpień najkrańcowszych. Tu — nauki moralne, słowa najmądrzejsze, zasady najbardziej słuszne, zamilknąć muszą wstydliwie, bo na tych obszarach sumienie nasze wyrazić się może tylko i wyłącznie w czynach, pomniejszających cierpienia i tragedje.

Kiedy myślimy o interesie społeczeństwa, narodu, państwa, posiłkujemy się często pojęciem „zła koniecznego". I często też, wykreślając zbyt szerokie tego zła granice, zaczynamy tolerować zło, wołające o pomstę do nieba, zło przerażające, to, które, niosąc tragedję jednostkom, tysiącom jednostek, zarazem osłabia, niszczy organizm zbiorowości.

Granice „zła koniecznego", które możnaby choć przez chwilę z różnych ważnych względów tolerować, zostały na wielkich terenach społecznego życia przekroczone.

Przekroczone wszędzie, gdzie człowiek spadł na dno upośledzenia, gdzie obrażone zostało już człowieczeństwo samo.

×

W wiejskiej szkole powszechnej zapytano dzieci, czemby chciały być. Ośmioletnia dziewczynka dała taką odpowiedź:

— Chciałabym być krową.

Wywołała zdumienie, lecz wyjaśniła swoje słowa:

— Bobym dawała mleko dzieciom i żywiłabym moją rodzinę.

×

Reporter jednego z dzienników warszawskich wybrał się do pewnej wsi w Kieleckiem.

Wieczór. Ciemności egipskie. Gdzieś tylko na skraju wsi — jedno migocące światełko.

Dziennikarz udał się w tym kierunku. Światło w tej wsi to coś niezwykłego. O zmierzchu zamiera tam życie. Nikt światła nie pali. Nafty niema. Nędza najstraszliwsza.

Cóż to więc za chata wyjątkowa?

Dziennikarz wszedł do izby. Pełno ludzi. Chłopi, chłopki, młodzi, starzy. W izbie duszno, oodychać trudno. jakiś zapach mdły okropnie. Na stole — miseczka z łojem i palącym się knotem.

Przybysz pyta, co tu sprowadziło tyle ludzi.

I wyjaśniono mu:

— Wszędzie ciemno, a tu światło. Przyszliśmy pogwarzyć. Gospodarzowi zdechł pies, to się z niego wytopiło trochę łoju i jest światło.

„Szczęśliwy wypadek"... Pies zdechł, więc w izbie może się świecić — przynajmniej kilka godzin.

×

Gospodarz z powiatu łęczyckiego pisze w „Pamiętnikach chłopów":

„Jest zasada, że każdy na wsi powinien i ma niby to dwa ubrania, jedno na święto, drugie na dzień zwykły. Całe niestety jednak, że to ubranie z dnia powszedniego poza wszelką przyzwoietość podarte, nigdyby nie można nazwać ubraniem. Kilka lat temu widziało się, że strachy na polach odstraszające kruki z pszenicy przyzwoiciej były ubierane i to jest fakt rzeczywisty, bo jeden gospodarz powiedział do mnie kiedyś, że mu się już tak dosłownie kapota podarła, a narazie pieniędzy nie ma na nową, więc gdzieś tam na górze odnalazł, no i od zeszłorocznego stracha kapotę sobie wypożyczył".

Człowiek i strach na wróble... Nie sądzono, że kapota tego ostatniego może się kiedyś przydać człowiekowi.

×

W broszurze p. t. „Wieś nie ma pracy" pisze p. Jerzy Michałowski:

„W lecie jest łatwiej, ale w zimie w północnej części powiatu spotkać można w chałupach dzieci, które zawiązywane są na cały dzień po szyję do worków z sieczką, gdyż bez ubrania zamarzłyby w zimnej, nieopalonej izbie".

„Rozpalenie ognia odbywa się dzięki uprzejmości sąsiedzkiej: wczesnym rankiem raz po raz widać przebiegające przez drogę gospodynie z płonącemi drzazgami. Dalekie od prometejskiego uniesienia, dość często w rozmowach skarżą się na te pierwotne sposoby wypożyczania ognia".

„W zimie większość dzieci do szkoły nie uczęszcza spowodu braku ubrania i obuwia, co przy wielkiem rozrzuceniu wsi małopolskich, nieraz na przestrzeni 4 — 5 km. często uniemożliwia powszechnie stosowane przynoszenie dzieci do szkoły przez ojca, który jedyny w rodzinie ma jeszcze buty".

×

„Kupcie mnie — woła ktoś w „Pamiętnikach bezrobtnych" — kupcie mnie! Chcę wam służyć wierniej, niż wuj Tom. Będę kamienie dźwigał pod budowę waszych domów, będę wasze pola uprawiał, tylko dajcie mi żyć. Dajcie mi jedzenie, dajcie mi spanie i dajcie mi odzienie. Kupcie mnie!"...

Tak woła człowiek, człowiek pracy. Żywa rzecz do sprzedania.

Dr. Mikołaj Łęcki, inspektor lekarski m. Warszawy w pracy p. t. „Stan walki z gruźlicą na terenie Warszawy" podaje, że na 1.026 osób zbadanych, chorych nag ruźlicę otwartą, tylko 96 miało oddzielny pokój (9.3%) reszta mieszka w pokoju wspólnym, przytem 27,7% współmieszkańców stanowią dzieci. 50% chorych prątkujących nie posiadało własnego łóżka, a 11,8% chorych na gruźlicę zaraźliwą spało z dziećmi.

×

Według badań Wydziału Zdrowotności Publicznej magistratu m. Łodzi w 7.799-ciu jednoizbowych mieszkaniach, zamieszkanych przez chorych na gruźlicę, 87,1% mieszkańców sypia po 2 lub 3 osoby na jednem łóżku.

×

Instytut Gospodarstwa Społecznego przeprowadził ankietę o mieszkaniowych warunkach robotników. Na 668 zbadanych typowych mieszkań w różnych miastach tylko 12 mieszkań, czyli 1,8% posiada ustępy w mieszkaniu, 74 — na korytarzach, 24 — na schodach, 558 — w podwórkach. Mieszkań posiadających zlew jest 12.6%. Nie posiada wodociągu 85,9% mieszkań. (Antoni Zdanowski: „Warunki mieszkaniowe robotników").

×

W książce Adama Zębalskiego p. t „Osadnictwo robotnicze" — rozdział o jaskiniowcach w Polsce. O jaskiniowcach — nie w przenośni, dosłownie. Znajdujemy tu opis szczegółowy, jak się dziś robi jaskinie, zamieszkałe przez bezdomnych. Są rozsiane w różnych połaciach kraju. Pod Będzinem — kolonja jaskiniowców, sto rodzin.

×

Takie oto dzieją się rzeczy w naszych czasach okrutnych.

Mówimy i piszemy o wielu, wielu sprawach palących Te oto rzeczy są palące. Jak żadne inne W hierarchji potrzeb trzeba ustalić jakąś rozumną i moralną kolejność. Uznać, że takie okropności nie leżą i nie mogą leżeć w granicach zła koniecznego, że nie mogą trwać, nie mogą istnieć. A uznawszy to — budzić największą niecierpliwość i niepokój moralny w walce z krańcami niedoli ludzkiej

Józef Wasowski

Hańba XX wieku

Według obliczeń biura statystycznego Ligi Narodów w roku 1934 z m a r ł o z głodu i niedostatku 2.430.000 ludzi na całym świecie. S a m o b ó j s t w o na tle kryzysu gospodarczego popełniło 1.200.000 osób. Na 2 miljardy ludzi, żyjących na całej kuli ziemskiej, 500 miljonów nie ma zapewnionych nawet względnych warunków bytowania.

Co na to rządy i społeczeństwa w państwach demokratycznych świata cywilizowanego?

RADJO

SPW — KRÓTKOFALOWA STACJA W BABICACH

Krótkofalowe radjostacje w Babicach, posiadające dla zagranicy znak SPW, wybudowana została przez Ministerstwo Poczt i Telegrafów do celów jedynie handlowych, t. j. do normalnej, płatnej korespondencji pocztowej. Jako stacja radjotelegraficzna otwarta została 21 sierpnia 1934 roku.

W styczniu 1935 roku SPW zaczęła pracować mocą 20 Kw. przy wbudowanej antenie kierunkowej o płaszczyźnie 22 mtr., skierowanej specjalnie na Amerykę Południową i Japonję, przyczem słyszana jest i w Ameryce Północnej, w Afryce i Australji.

Stacja w Babicach nie była przystosowana do radjofonji, po szeregu jednak prób zaczęła pracować mocą 10 Kw. w antenie na radjotelefon i w październiku 1935 roku była już oddana do użytku Polskiego Radja, w celu nadawania programów radjowych dla naszej emigracji zamorskiej.

Jako stacja wyłącznie prawie handlowa SPW nie posiada tymczasem własnych studjów, speakera, ani artystów. Audycje przesyłane są do Babic po kablu ze studja Polskiego Radja.

Obecnie, jak już wzmiankowaliśmy w prasie, Babice od dnia 3 lutego, będą już nadawały stale na fali 22 mtr. dla naszej emigracji zamorskiej godzinny program trzy razy w tygodniu; od godziny 17.30 do godziny 18.30.

Niezależnie od poczynionych już instalacyj, Ministerstwo Poczt i Telegrafów rozważa sprawę wbudowania nowej anteny kierunkowej na Amerykę Północną w celu zapewnienia sobie bezpośredniego, większego jeszcze zasięgu.

TRANSMISJE RADJOWE Z OLIMPJADY ZIMOWEJ

Znana szeroko w świecie sportowym miejscowość klimatyczna Garmisch Partenkirchen będzie gościć w lutym b. r. asów sportu zimowego z całego świata.

Od szeregu miesięcy w górach bawarskich wre gorączkowa praca, by Garmisch Partenkirchen odpowiednio przygotować do tego ewenementu sportowego. Także i radjo wysłało swoich najtęższych techników, by umożliwić 12 narodom świata słuchanie reportaży w ich ojczystym języku o przebiegu i wynikach Olimpjady sportu zimowego. Tysiące metrów kablu wciąga się z wielkiemi trudnościami, przy bardzo ciężkich warunkach atmosferycznych: srogiej zimy i śniegu, na wysokie szczyty górskie. Wybudowano szereg rozmównic telefonicznych, wzmacniaczy i innych potrzebnych urządzeń technicznych, urządzono centralę rozdzielczą i zainstalowano wielką ilość połączeń kablowych.

Na bieżni narciarskiej wzniesiono 14 rozmównic, po dwie z obu stron sędziów rozjemczych przy skoczni i dziesięć na trasie biegów. W ten sposób speakerzy będą mieli swobodną możność obserwowania przebiegu zawodów. Kabiny rozmównic wyposażone są w mikrofony, połączone ze stacją wzmacniakową. Stamtąd wiadomości dostają się drogą kablową przez Garmisch do centrali radjowej bezpośrednio na dworcu, gdzie powstała specjalna budowla odpowiadająca swemu przeznaczeniu. Mieści się tam centrala telefoniczna, rozmównica, biura, urządzenia sygnałowe, akumulatory rezerwowe i inne. Jest to serce radja Garmisch Partenkirchen, skąd rozchodzą się wiadomości na cały świat.

Sześć różnych dróg służy do przenoszenia wiadomości w rozmaite strony. Jedna z nich przeznaczona została do informowania krajów wschodnich jak: Czechosłowacja, Austrja i Polska, która wyśle na te interesujące zawody sportowe swoich specjalnych radjo - reporterów.

Nie zapomniano też o urządzeniu stacji krótkofalowej, co umożliwi łapanie wiadomości z Olimpjady krajom najbardziej egzotycznym i odległym w innych częściach świata.

Oczywiście szereg wzmacniaczy umożliwi przekazywanie tych wiadomości dalej. Umieszczono je przy instalacjach kablowych na całej ich długości. Nie jest to bowiem takie proste z prowizorycznie urządzonej radjostacji przesyłać wiadomości na cały świat.

PIERWSZE BEZPOŚREDNIE WIEŚCI Z PLACU BOJU W GARMISCH PARTENKIRCHEN

Począwszy od dnia 6 lutego do dnia 15 lutego włącznie Polskie Radjo nadawać będzie kablem bezpośrednio z terenów walk „Zimowej Olimpjady" krótkie 5 minutowe reportaże, informujące o całodziennem przebiegu bojów olimpijskich.

Reportaże te, nadawane będą codziennie w godzinach od 22.30 do 22.35. Polskie Radio, nie ograniczając się do tych codziennych krótkich audycyj, również transmitować będzie zawody — specjalnie interesujące radjosłuchaczy polskich.

JAN LORENTOWICZ

Historja jednego „kompleksu"

Linja rozwoju talentu p. Marji Kuncewiczowej jest dość nierówna. W pierwszych swych opowiadaniach łączyła ostry realizm szczegółów z wybitną troską o formę. Osobliwością tej formy były kunsztowne, wyszukane przenośnie, któremi Kuncewiczowa szafowała bez miary. Bez przenośni lub porównań nie chciała podawać czytelnikowi ani jednego zdania.

Zwolna dochodziła p. Kuncewiczowa do przeświadczenia, że nadmiar metafor stanowi balast barokowy, pomimo efektownych niespodzianek i niezwykłych obrazów. Z każdym nowym tomem opowiadań wzmagała się potrzeba prostoty.

Nadeszła wreszcie chwila, gdy p. Kuncewiczowa, zasiadłszy do pisania, odsunęła wszelkie ponęty bogactwa metafor. Porwał ją temat, oddawna zapewne nurtujący wyobraźnię i— nastąpił wspaniały wybuch, któremu na imię: „C u d z o z i e m k a" (powieść, Warszawa 1936, wyd. „Roju"). W wybuchu tym, obok czystego płomienia, który stanowi twórczą istotę zadania, pełno dymów, żużli i popiołu. Całość opowiadania zbudowana jest pospiesznie: co pewien czas — dywersje, fragmenty retrospektywne, nagłe powroty do przerwanego wątku, mechaniczne powiązanie wydarzeń.

Pomimo konstrukcji tak... przypadkowej (a raczej pomimo braków konstrukcji), olśniewa w powieści świetne studjum charakteru. Sprawa była niezmiernie trudna i nowa: chodziło o stany podświadome bohaterki już sześćdziesięcioletniej, zagadkowej, dziwnej, połamanej wewnętrznie, dokuczliwej, nieznośnej i nieobliczalnej, obarczonej jakby następstwami kompleksu freudowskiego. Pani Róża miała niegdyś, w młodości, narzeczonego, który ją porzucił. Niezaspokojona l i b i d o wlecze się za Różą przez cały jej żywot i objawia się w sposób skomplikowany, uciążliwy i przykry wobec najbliższego otoczenia: męża, poślubionego bez miłości, dzieci, synowej i wnuków. Do tego urazu psychicznego dołączył się z czasem drugi: pani Róża, zdolna i wykształcona pianistka, rozmiłowała się do szału w muzyce, odczuwa ją głęboko, szuka w niej ratunku na wszystkie swe tęsknoty i niezaspokojone pragnienia. Chociaż jednak rozumie doskonale wielkich kompozytorów, — tonie w żalu i rozterce, że nie jest zdolna w swej grze wydobyć wszystkiego, co w dziełach ich wyczuwa. Ta podwójna męka staje się regulatorem jej stosunku codziennego do całego jej otoczenia. Nie kocha swego męża, oddanego jej bezgranicznie, miękkiego, dobrego i cierpliwego człowieka: torturuje go nieustannymi wyrzutami, przymówkami, impertynencjami; w córce odkryła piękny głos i kształci ją na śpiewaczkę, co jej nie przeszkadza w nieustannem wobec niej okrucieństwie; wielką tkliwość, posuniętą do perwersji, okazuje synowi, ale i jego potrafi upokarzać i dręczyć zjadliwemi słowami.

Pozornie — jest to tylko „sekutnica" i megalomanka. W rzeczywistości jednak odbywają się w niej bardzo gwałtowne procesy życia podświadomego. Wszystko niespodziane i bolesne, co Róża mówi swemu otoczeniu, płynie z tego podziemnego źródła jaźni. A płynie stamtąd przedewszystkiem nienawiść do szczęścia innych ludzi, chociaż c i i n n i są jej nabliżsi. Pomiędzy Różą a członkami jej rodziny trwa stałe nieporozumienie: gdy do niej ktośkolwiek przemówi, odpowiada nie tak, prosto, jakby to uczyniła każda matka lub żona, ale — rzuca jakby epilogi, wnioski ukrytych procesów swej podświadomości. I staje się wówczas niewiarogodnie okrutną i przewrotną. „Kiedy Róża — pisze Kuncewiczowa — przebywała w domu, świat wydawał się zaludniony upiorami, z za każdej twarzy znajomej wychylało się kilka szatańskich i anielskich sobowtórów, każda najzwyklejsza chwila ukazywała szczeliny, ziejące wiecznością".

Róża ma głębokie poczucie odrębności własnej, ale tłomaczy je dosyć powierzchownie. Gdy ją w Królewcu nazwał ktoś „cudzoziemką", — zwraca się do syna ze słowami: „Gdzie tylko się ruszę, wszędzie o mnie tak mówią: „c u d z o z i e m k a". Jako córka zesłańca politycznego, pani Róża przebywała długie lata w Rosji, a skutki tego pobytu w taki sposób tłomaczy synowi: „Mój kraj... W Taganrogu nie chodziłam do cerkwi, tylko do kościoła. Koleżanki, kiedy pop szedł korytarzem, odsuwały się odemnie: p o l a c z k a. A w kościele kazania były po francusku i nikt na mnie, jak na swoją, nie patrzył. Do Warszawy przyjechałam — powiedzieli: moskiewka, akcent kacapski i śniada, jak djablica. W Petersburgu — w a r s z a w s k a j a b a r y s z n i a. Nad Wołgę mąż zawiózł — g r a f i n i a ze stolicy, artystka. Teraz, na starość — do Warszawy z powrotem. Znowu to samo: „pani z kresów czy z Rosji?" Bo odrazu poznać, że obca... Zawsze i wszędzie tak: „cudzoziemka".

Słowa te nie potwierdzają racji tytułu powieści Kuncewiczowej. Osłaniają one treść istotną, na dnie duszy Róży spoczywającą: czuje się ona c u d z o z i e m k ą, kobietą o b c ą w s z ę d z i e, nawet wśród najbliższej rodziny, bo niema żadnej siły, któraby jej powróciła utraconego niegdyś narzeczonego, niema potęgi, któraby uczyniła z niej taką pianistkę, jaką być pragnie. Wszyscy na świecie są jej obcy i nienawistni, gdyż nie znają, ani nawet domyślają się jej świata wewnętrznego. Zresztą wobec własnych niepokojów, pragnień, nienawistnych uczuć, rozgoryczeń i marzeń, Róża jest rodzajem medjum, reagującem odruchami na cichą, nieprzerwaną walkę, która się odbywa w jej podświadomej jaźni. Straciła poczucie czasu, zajmuje się z pasją swą urodą i swemi strojami. Uzdolnienia muzyczne dają jej poczucie wyższości i wyniosłego na świat spojrzenia. Gdy siły zaczynają gasnąć, Róża zgodziła się na konsultację u lekarza niemieckiego w Królewcu, gdzie syn jej był konsulem. Lekarz, widocznie psychjatra, a może freudowski psychoanalityk, po impertynencjach, jakiemi go, przy pierwszej wizycie, powitała ta niezwykła pacjentka, zorjentował się odrazu, z kim ma do czynienia i, na impertynencje, rzucił jej słowa: „Ach, takie stare i takie ciągle głupie jest to stworzenie!" Słowa te spadły na megalomanje Róży jak błyskawica, oświetlająca nagle zakamarki jej duszy. Gdy później lekarz dodał przy pożegnaniu bardzo łagodnie: „Więcej spokoju! I taki przecież śliczny nos mamy"... — olśnienie Róży dochodzi do kresu. Tylko ten doktór, jeden jedyny na świecie człowiek nie zląkł się Róży, zobaczył dzieciństwo w jej starem sercu, kazał językowi złemu milczeć, „słuchał serca i męczarnię jego zrozumiał". Zaczyna się odwrót na całej linji. Róża teraz wszystkim przebacza, szuka pojednania ze wszystkimi. Dzieje się to już, niestety, i n a r t i c u l o m o r t i s, bo czyha na Różę ciężka choroba, zakończona zgonem...

„Cudzoziemka", w swej najważniejszej treści jest studjum portretowem. Nie wyobrażam sobie, aby studjum tak znakomite, tak pełne linij zygzakowanych, tak niepokojące, mogło się było odbyć bez modelu, chociaż jest to dla sprawy obojętne. Najciekawszy model nie zapewnia jeszcze doskonałości portretu. A właśnie portret Róży jest rewelacją pod względem nadzwyczajnej precyzji i bujności rysunku, odczuwania najdrobniejszych szczegółów poufnej kobiecości, wyrazistości psychicznej i analizy zjawisk duchowych, określanych zazwyczaj pierwszą lepszą bieżącą nazwą z życia codziennego. Niektóre fragmenty książki (np. stosunek Róży do męża i do synowej, ostatnie chwile Róży) pełne są napięcia dramatycznego i niepospolitej przenikliwości. Taką pełnię charakteru stworzyć mógł tylko najszczerszy, odważny talent, wyzwolony ze schematyzmu formułek i sztucznego piękna powieściowych zaokrągleń i przyjemnych efektów.

Jan Lorentowicz.

Pamiętaj o uczczeniu przez Warszawę Pamięci Wodza Narodu J. Piłsudskiego

Złóż ofiarę na budowę Pomnika

Konto P.K.O. Nr. 1414.
Stołeczny Komitet Budowy Pomnika Marsz. J. Piłsudskiego w Warszawie.

MIECZYSŁAW KONIC

Warszawska Ubezpieczalnia Społeczna pracuje

(reportaż)

Szary, duży gmach, patrzący na podwórze oczami olbrzymich okien, wibrujących klekotem maszyn i stugębnym gwarem — Ubezpieczalnia Społeczna.

Jak pracuje, jak żyje, jak się bawi (?!) szary, przeciętny człowiek uzbrojony w pióro (niekoniecznie wieczne) i w szereg przepisów (niekoniecznie życiowych)?

Ciekawość i notes—to broń, którą zdobywamy Ubezpieczalnię. Od zadyszanego informatora na którego głowę spada istna lawina pytań, poprzez ścisk ludzki w wąskiem przejściu, dostajemy się do Dyrekcji Ubezpieczeń. Kilka pytań i już wędrujemy na zwiedzenie biur centrali.

Piąte i czwarte piętro to gabinety dyrekcji, naczelnego lekarza, maszynownia, korespondencja, sekretarjaty. Duże, jasne pokoje, z mrocznego korytarza o kaflowej posadzce, są miłe, ciepłe, estetyczne. Sa drewniane podłogi, są nawet posadzki. I jest dziwna cisza, dziwny spokój, tak różny od gwaru na dole, wibrującego całą orkiestrą tonów ludzkich gardzieli, nastrojowych stale na forte.

Przed zejściem na „ten dół", nasz cicerone udziela nam szeregu informacyj.

— Gmach nie jest przystosowany do pracy naszych biur? — to prawda. Są braki, które ciężko usunąć, które utrudniają urzędnikowi pracę, ale znajdujemy jeśli nie środki to choć półśrodki zapobiegające tym brakom. A zresztą w roku 1937 kończy się kontrakt dzierżawny i napewno przeniesiemy się do jednego z własnych gmachów.

— Ilu zatrudniamy urzędników? Chwileczkę. Wydział Gospodarczy i Administracji 210 ludzi, Finanse 240 i Ubezpieczenia 435, to razem 885 ludzi, licząc w tem część niższych funkcjonarjuszów.

— Czem tłumaczyć psychozę bojaźni t. zw. „wylania" panującą wśród urzędników? — Składa się na to szereg przyczyn. Pierwszą z nich to dokonana niedawno reorganizacja Ubezpieczalni. Scaliliśmy powiatowe Kasy Chorych, by później je wchłonąć całkowicie, przejęliśmy ubezpieczenia długoterminowe, a wreszcie ustawa scaleniowa. Stabilizacja schematu oragnizacyjnego zmusiła nas do zwolnienia tych urzędników, którzy byli przyjęci na okres reorganizacji. To wszystko. A pozatem musimy utrzymać się w granicach określonego budżetu.

Po tym „wstępie" wędrujemy dalej. Wydział Ewidencji. Duża, widna sala, wąskie przejścia dla interesantów, kaflowa podłoga i... filcowe podkładki pod nogi — półśrodek skuteczny, nie zawsze, bo kilka urzędniczek ma nogi owinięte kocami! Są i piece z rurami biegnącemi pod sufitem, okolone parawanikami, które pachną rozgrzewającą się farba.

Większą wadą jest ciasnota przejść dla interesantów, mających tutaj ruch jednokierunkowy, nie zawsze przestrzegany. Ta ciasnota powoduje zdenerwowanie klijenta, które oczywiście skupić się musi na niewinnym urzędniku.

Taki sam ścisk panuje w Wydziale Świadczeń, gdzie przy tabliczce: zasiłki chorobowe, stoi sobie taki długi „okupacyjny ogonek". Urzędnik troi się, niestety nie może się rozdwoić na dziesięć części, na dziesięciu urzędników, bo taka tylko liczba załatwiałaby interesantów bez godzinnego czekania. Ha, przypominamy sobie — BUDŻET.

Ten sam BUDŻET tkwi nam w głowie, gdy zwiedzamy Wydział legitymacyj.

Atmosfera domu noclegowego. Wydział ten wydał do tej pory podobno juz 180.000 legitymacyj ubezpieczeniowych. Jesteśmy zdumieni. Kiedy, jak, w jaki sposób? Jak przez te dwa okienka, mogło się przewinąć tylu ludzi? Przypadkowo jesteśmy świadkami rozmowy, z której dowiadujemy się, że Wydział ten nie może dać sobie rady, a to z tej racji, że nie ma urzędników. Przydzielić z innego Wydziału? — niema skąd. A fala ludzka, w mrocznej sali, rośnie, wydaje pomruki niezadowolenia, nieraz wybucha głośnym protestem. A spoconemu urzędnikowi biegają ręce — tylko dwie ręce, a żąda się od nich pracy za dziesięć.

Wreszcie po przejściu spokojnych biur księgowości, buchalterji i Kasy, schodzimy do Wydziału Poboru Składek.

Zagłębiamy się w lekturze takiego oto obwieszczenia:

„Każdy kto obraża słownie, lub czynem urzędnika podczas służby podlega grzywnie i karze więzienia do lat 3-ch i t. d. i t. d.".

Jakto to aż tak „homo, homini lupus est"?

Djalog:

— Panie, musicie mi panowie tę zaległość rozłożyć na raty i to małe.

— Wpłaci pan 500 zł., resztę rozłożymy na raty.

Ale, 500 zł., nędza jest panie, a pan 500 zł.!

Ton staje się coraz bardziej ostry, gwałtowny. A wreszcie pan pracodawca odchodzi pełen rozgoryczenia i przykrych epitetów pod adresem... urzędnika, który za rzetelne spełnianie swego obowiązku zostaje w nagrodę — „ofiarnym kozłem", na którym „jaśnie klijent" może wyładować swój zły humor i bezpodstawne żądania.

Jakiś robociarz klnie:

— Co jest do cholery....

Inny:

— Panie czekam godzinę, do djabła!

A biedny urzędnik ma tylko dwie ręce i jedną głowę. Trudno, choćby ta głowa była najzdolniejszą, a ręce najbardziej szybkie, to i ręce mogą opaść przy takim nawale pracy, tembardziej, że praca ta wyczerpuje nerwowo bardziej niż każda inna.

Z Wydziału poboru przenosimy się do drugiego budynku mieszczącego się na parterze. Biuro Informacji i Wydział Zgłoszeń.

Długa lada i o dziwo, za nią drewniana podłoga. Tłok, ścisk, zaduch, morze głów. Góruje tu ten kto ma szersze bary i mocniejszy głos.

— Panie mój wykaz!

Zasapany, spocony, czerwony urzędnik sięga po teczki. Jedna, druga, trzecia — wydaje wykazy, przyjmuje pokwitowania. Informuje, tłumaczy... jest spokojny, opanowany, taktowny.

Bez chwili odpoczynku na papierosa, szklankę herbaty, minutę spokoju. Spoglądam z podziwem na tego człowieka. Ma około trzydziestki. Czy długo pociągnie przy takiej pracy, czy nerwy wytrzymają, by zawsze uprzejmie odpowiadać na idjotyczne nieraz pytania?

— Czy zawsze tak? — pytam.

— Prawie. A szczególnie, między 1-ym a 10-tym każdego miesiąca. Odbierają i składają wykazy.

I znów ręce gorączkowo przerzucają teczki, znów twarz pokrywa zmęczenie usmiechem. A tłum ludzki faluje, przelewa się, depce sobie po piętach, wymyśla na Ubezpieczalnię, urzędników i t. d.

— Jak ich jest mało, to niech sobie wezmą więcej urzędników — mówi jakiś jegomość — my za to płacimy.

I znów wędrujemy dalej, przez szare podwórze błyszczące z jednej strony refleksem olbrzymich okien. Stukają miarowo maszyny — liczą, liczą, liczą. Pochylają się głowy ze zmęczenia — tempo, tempo, tempo.

Trzeba się śpieszyć, bo klijent za okienkiem nie rozumie, że jego wykaz trzeba znaleźć, odpisać, obliczyć i, że minuta wypoczynku jest rzeczą bezcenną.

Mieczysław Konic.

C. d. n.

Cienie życia pracowniczego

§ 56

Nieszczęśliwie pomyślany

W ostatnim numerze „Echa Społecznego" (nr. 2) podjęliśmy ważną dla pracowników instytucyj ubezpieczeń społecznych sprawę § 56 pragmatyki.

Przepis tego paragrafu pragnie wprowadzić z dniem 1 kwietnia r. b., a więc już bardzo niedługo, zasadę, że pracownicy, zatrudnieni w ubezpieczalniach społecznych, mają opłacać przypadającą na nich część świadczeń socjalnych.

Sprawie tej nadajemy ze zrozumiałych zresztą względów charakter doniosły. Następstwem bowiem wejścia w życie § 56 będzie dalsze obcięcie naszych uposażeń. Niestosowana do innych grup pracowniczych zasada, ma w/g projektowanego przepisu, dotknąć naszą grupę, która pozostanie w tym względzie odosobnioną, stanie się „ofiarnym kozłem" posunięć czynników miarodajnych.

Jesteśmy — pracownicy ubezpieczalń społecznych — poważnym wycinkiem polskiego świata pracy. Nie stanowimy i nie chcemy stanowić dla siebie wyjątków czy uprzywilejowanej pozycji najbiedniejszych z biednych. Nie dla wyodrębniania się zatem spod ogólnej, jednolitej walki rzesz pracowniczych, walki pracowników umysłowych i robotników, piszemy te słowa, a dla hasła naszego, **dla naszej, na dzień dzisiejszy tylko ustanowionej, dewizy: o równe prawa!**

W imię więc tej rządzącej ponoć światem zasady objektywnej słuszności (którą trudno, nawiasem mówiąc, jakoś wydobyć z przepisów pracowniczych), sine ira et studio raz jeszcze zastanówmy się czy § 56 pragmatyki służbowej ma rację bytu.

Zgóry łatwo wywnioskować, że nie istnieją jakiekolwiek podstawy racjonalne, któreby w sukurs temu przepisowi przyszły.

Pracownicy ubezpieczeń społecznych w słusznym swym odruchu, uważają ten przepis za krzywdzący ich bez jakiejkolwiek racji i powodu. I ten brak przyczyny sprawczej bezpośredniej i nasze do minimum obniżone pensje czynią, że **występujemy bezwzględnie przeciw normie § 56**. Występujemy w zgodnym sprzeciwie. Ten przepis nas krzywdzi.

Spauperyzowany pracownik godność swoją nie mierzy, jak chcą niektórzy — wysokością płacy za pracę najemną. Nie zna on takich dla wartościowania zjawisk i rzeczy kryterjów. Dla niego miarą wartości, jedyną i niezaprzeczalną, jest godność człowieka pracy, członka tego świata, z którym integralnie zrośnięty, mimo ataków kapitalizmu i szczucia Lewjatana, niesie wysoko swój sztandar: człowieka-obywatela.

Duma warcholstwa i zarozumiałość — powiedzą niewątpliwie ci, dla których urzędnik i robotnik, pracownik umysłowy czy fizyczny, to tylko kupa mięsa, potulna, wyzyskiwana, dla której barłog ma być luksusem. Czyż im, tym panom z za pięknie tłoczonych ścian gabinetów„ czyż tym teoretykom kapitalistycznej ery, obejmującym wzrokiem zaledwie zielony blat swego biurka, im, czyż dziwić się należy, że tak, a nie inaczej myślą?

Powiedzmy sobie na to wszystko łagodnie, bardzo łagodnie: nie znają nas, lub chcą siebie samych tumanić. Świat pracy tężeje w masie, tężeje w zgodnych impulsach do wspólnego zgodnego działania. W tej wspólnej zbiorowej sile jest nasza siła, nas, poszczególnych jednostek, pracujących przy biurku czy przy warsztacie.

I tu nasza duma. **Wzrosło w nas niezłomne przekonanie, iż o naszych losach i naszych sprawach my sami musimy decydować.**

Bo o naszych prawach zapominają czynniki miarodajne, przeinaczając je lub, dobrze nabyte, puszczając w niepamięć. Wiemy wszyscy aż nadto dobrze, a wielu z nas może to pamięta, że **układając tabelę pensyj dla pracowników ubezpieczeń społecznych, uwzględniono w niej świadczenia socjalne.** Dziś zapomniano o tej kalkulacji i jednem pociągnięciem pióra pragnie się znów obciąć nam pensję — na składki ubezpieczeniowe. Mimo tego — że jak powtarzamy — nasze uposażenia tak kalkulowano w swym czasie, aby te składki uwzględnić. § 56 ma przeprowadzić nowe, ukryte,—opodatkowanie, bo tak to w podanem świetle można tylko nazwać. Kto więc o nasze prawa dba i kto zachowuje nasze prawa? Nikt! Jesteśmy zdani na s w o j e działanie! **U kresu możliwości podjąć musimy walkę o prawo do swojego losu, o prawo do siebie samego.** Opłacać przewidzianych w § 56 stawek nie możemy. **Jesteśmy w dobie strasznej pauperyzacji rzeszy pracowniczej, która stanęła u kresu możliwości materjalnej egzystencji człowieka.**

W żądaniach naszych trwać będziemy niezmiennie. Postulujemy kategorycznie zniesienie bezpodstawnego § 56 pragmatyki służbowej.

Żądamy tego słusznego posunięcia od czynników miarodajnych. Mamy pełne prawo do tego, bo przepis ten chwieje dalej — naruszoną już, ze szkodą pracowniczą zasadą— równości praw. Nie chcemy mnożyć, podawanych już uprzednio przez nas, przykładów (nr. 2, str. 5, artykuł: „Trzeba zawiesić § 56 pragmatyki"), dowodnie stwierdzających, że w rzędzie przywilejów i uprawnień pracownicy ubezpieczeń społecznych zepchnięci zostali na szary koniec. Bez uprawnień, związanych z innemi kategorjami pracowników, dzieliliśmy z niemi jednak na równi los ponurej wiwisekcji na naszych pensjach, a pośrednio — na nas samych.

Czyż trzeba przypominać tę makabryczną litanję obniżek, przez jakie przeszły nasze uposażenia? **Ileż to razy obcinano nam pensję w ciągu nieledwie pięciu lat, dając nam obecnie miesięcznie ochłap 30—40-procentowy pensji, z roku 1930, czy 1931?**

Czyż może ktokolwiek więc odmówić nam, że świat pracowniczy spełniał swój obowiązek obywatelski, dając tem niezaprzeczalne świadectwo o wysokiej próbie wartości pozytywnego ustosunkowania się do dobra Państwa i jego interesów. **Obywatelskiej więc postawy wobec ciężkich przeżyć naszego budżetu państwowego nikt nam odmówić nie może.** Mamy zatem prawo my, pracownicy polscy, a wśród nich w danej chwili — pracownicy instytucyj ubezpieczeń społecznych — w powołaniu na dobrze spełniane obowiązki, żądać od Państwa zawieszenia niesprawiedliwego, w danej sytuacji, przepisu aż do usunięcia sytuacji obecnej.

Tem racjonalniej rysuje się nasze stanowisko, w wypadku zmiany § 56, że nie wchodzi tu przecież w grę ani dobro Państwa, ani potrzeba ponoszenia na rzecz jego budżetu ofiar.

Fałszywie i patetycznie brzmiałyby takie uzasadnienia ze strony czynników, wprowadzających § 56.

Jesteśmy jednocześnie przeświadczeni, że § 56 pragmatyki służbowej, a przedewszystkiem jego norma, dotycząca terminu obowiązywania, zostanie wszechstronnie rozpatrzona przez miarodajne czynniki. Wymowa faktów, stan obciążenia naszych pensyj ostatnim szczególnie podatkiem specjalnym, muszą przechylić decyzję na naszą stronę, muszą spowodować usunięcie § 56. Jesteśmy już za progiem naszych możliwości finansowych. Oczekujemy słusznej oceny rzeczywistości, nas otaczającej i sprawiedliwego rozstrzygnięcia. Niesprawiedliwość, pozostawiająca przepis § 56 w całości, pogrąży nas w sytuacji materjalnej bez wyjścia, a co najgorsze — siać będzie rozgoryczenie i ferment.

T. J. O.

Odezwa do b. członków

nielegalnego Związku Kolejarzy

Do wszystkich członków b. nielegalnego Związku kolejarzy i wszystkich działaczy oraz uczestników ruchu niepodległościowego na kolejach w latach 1904, 1905 i następnych.

Minęło 30 lat od chwili, kiedy idea walki o niepodległość przeniknęła w szeregi kolejarzy b. zaboru rosyjskiego. W początkach roku 1904 zawiązał się nielegalny Związek kolejarzy b. Królestwa Polskiego, wypowiadając czynną walkę najeźdźcy — gromadząc dziesiątki tysięcy kolejarzy pod swemi hasłami.

W dniu 26 października 1905 roku kolejarze wystąpili do walki — proklamując strajk polityczny. Mimo szalejących represyj i prześladowań rządu moskiewskiego i mimo, że wyrywano z naszych szeregów najczynniejszych działaczy, wysyłając ich wgłąb Rosji i do więzień, praca nasza w podziemiach wzrastała, koordynując siły do następnych czynów.

Dla zapisania karty dziejów kolejarzy w walce o niepodległość Polski — zawiązał się Komitet Zjazdu wszystkich członków b. nielegalnego Związku i uczestników walk o niepodległość na kolejach.

Koledzy, nadsyłajcie swe adresy i wszelkie dowody, pisma, odezwy, druki, czy protokuły, ilustrujące pracę w latach 1904 — 1905 i następnych do Komitetu pod adresem: **Warszawa, ul. Jerozolimska 34, lokal „Współpracy".**

Powyższą odezwę zamieszczamy tem chętniej, albowiem pamiętamy o chwalebnym i masowym udziale organizacji kolejarzy polskich w walkach w roku 1905 z najeźdźcą moskiewskim o wolność i niepodległość Narodu.

HENRYK LUKREC

Z świetnego skarbca wspomnień

Czytając książkę Jana Lorentowicza p. t. „Spojrzenie wstecz", stanowiącą barwną wstęgę osobistych wspomnień, która przewija się wśród korowodu wybitnych postaci przeszłości, — nie można zapominać, że autor sam, jako pisarz, wywodzi się z wzniosłego, romantycznego okresu socjalizmu polskiego. Nie należy też przeoczać ważnego szczegółu, że Jan Lorentowicz, jeden z nielicznych już żyjących pisarzy, zbuntowanych przeciw ówczesnej rzeczywistości i niepokumanych duchowo ani z ugodą ani z wstecznictwem, jest dziś jednym z ostatnich Mohikanów z pośród pokolenia młodzieży, która pierwsza przed pół wiekiem bezmała rozwinęła w nocy niewoli czerwony sztandar socjalizmu i niepodległości.

„Spojrzenie wstecz" Jana Lorentowicza ogarnia przeważnie czasy paryskie z ostatniego dziesiątka lat ubiegłego stulecia, ale iżby móc dokładnie uzmysłowić sobie ducha tych wspomnień, niezbędną rzeczą jest wiedzieć, że były to właśnie godziny brzasku myśli socjalistycznej w środowisku młodzieży, której nie wystarczały idee pracy organicznej, przekreślającej ideały walki o niepodległość i o wyzwolenie rzesz pracujących, za cenę bogacenia się polskiego mieszczaństwa na wschodnich rynkach państwa carów.

Odłam tej młodzieży, pielęgnujący żarliwie tradycje demokratyczno-powstańcze, gardził bożkami złotego cielca i odrzucał sugestje polityczne organizatorów, nakłaniających do korzystnego godzenia się z rzeczywistością pod skrzydłami opiekuńczemi pozytywistów warszawskich i stańczyków krakowskich.

Jan Lorentowicz, który dziś uświetnia swem piórem także łamy „Echa Społecznego", był jednym z pierwszych współpracowników sławnej „Pobudki" paryskiej (1889 — 1892), obok nestora socjalizmu polskiego, Bolesława Limanowskiego, Antoniego Langego, znakomitego później poety, Kazimierza Dłuskiego, niestrudzonego bojownika o wolność, Tadeusza Jaroszyńskiego, naówczas malarza, później znanego pisarza, Antoniego Złotnickiego, lekarza i publicysty i innych; później zaś Lorentowicz został redaktorem „Pobudki", po śmierci założyciela tego pisma oraz „Gminy narodowo-socjalistycznej", płomiennego rewolucjonisty, Stanisława Barańskiego. Była to uduchowiona kohorta młodzieży, wyznającej ideę odrodzenia Polski, mającej powstać w drodze walki na gruzach niewoli w pełni sprawiedliwości społecznej, równości gospodarczej i niepodległości politycznej.

Jan Lorentowicz, jako delegat tej gminy, wziął udział w 1892 r. wespół z Władysławem Ratuldem, głośnym później lekarzem, i Marją Szeligą w pamiętnym zjeździe zjednoczenia socjalistów polskich z pod zaboru rosyjskiego. Zjazd ten, będący zawiązkiem Polskiej Partji Socjalistycznej, zgromadził wówczas 18 delegatów, którzy reprezentowali cztery, jak wiadomo, ugrupowania; z ramienia partji „Proletarjat" zgłosili się: Aleksander Dębski, wytrwały do końca życia bojownik socjalizmu, niedawno zmarły w Warszawie, Witold Jodko, późniejszy poseł w Rydze z ramienia Rzeczypospolitej Polskiej, Stanisław Mendelson, późniejszy zagorzały przeciwnik socjalizmu i nacjonalista żydowski, Feliks Perl, niezachwiany do końca dni swoich przywódca PPS i teoretyk, Aleksander Sulkiewicz, niestrudzony bojownik o niepodległość, niedawno pochowany w Warszawie. Z ramienia Zjednoczenia socjalistów polskich zgłosili się: Edward Abramowski, wybitny uczony późniejszy i pionier współdzielczości, Jan Stróżecki, Stanisław Tylicki; ze Związku Socjalistów zaś: Stanisław Grabski, późniejszy nacjonalista, przywódca narodowej demokracji i minister oświecenia: nadto przedstawiciel młodzieży akademickiej z kolonii berlińskiej: Wacław Podwiński, wreszcie: Bolesław Limanowski, którego jednogłośnie powołano na przewodniczącego zjazdu, pamiętnego tem przedewszystkiem, że jak wiadomo, przyjął za podstawę programu politycznego przyszłej P. P. S. niepodległość Polskiej Rzeczypospolitej demokratycznej.

Oto był klimat duchowy tego czasu, któremu Jan Lorentowicz poświęca parę szkiców w swojem „Spojrzeniu wstecz". Jeden z nich np. zawiera wspomnienia z życia wspólnego w kamienicy przy ul. de la Glaciere 20. W sposób bezpretensjonalny ale po mistrzowsku autor portretuje całą galerję tamtejszych mieszkańców, wśród których znajduje się także założyciel i redaktor „Pobudki", Stanisław Barański. O zwięzłości wyrażania się i o artyźmie obrazowania rzeczy świadczyć może taki np. wyjątek ze szkicu p. t. „Narodziny programu": „Duszą całej grupy był Stanisław Barański, student medycyny, poświęcający się jednak głównie polityce. Wybitny djalektyk, świetny, pełen temperamentu mówca, pisarz polityczny pierwszorzędny, wywierał on wielki wpływ na kolegów. Jeszcze jako uczeń ósmej klasy w trzeciem gimnazjum warszawskiem, zamieszany był w proces „Proletarjatu" i odsiedział kilka miesięcy w Cytadeli. Gdy się zapisał do Uniwersytetu, rozpoczął propagandę współkonieczności socjalizmu z walką o niepodległość. Podczas zaburzeń apuchtinowskich, zaliczono go do najbardziej winnych i osadzono najpierw na osiem miesięcy w Cytadeli, a następnie razem z Krusińskim i innymi przewieziono na sześciotygodniowe więzienie do Petersburga.

Przybył Barański do Paryża i zapisał się na studja medyczne: ale temperament rewolucyjny, oswobodzony z oków knutowej legalności, parł go w jednym wyłącznie kierunku: — pracy społecznej. Widziano go na wszelkich wiecach polskich. Wszędzie zabierał głos śmiały, jasny i wybitny. Polemistą był wyjątkowo zręcznym i zdolnym; czujnie podchwytywał słabe strony przeciwnika, własne zaś argumenty wysuwał gładko, roztrząsał logicznie, konkludował mocno. Jego nadzwyczajnie piękna, uduchowiona twarz, okolona bujną, czarną czupryną, płonęła ogniem, kiedy mówił publicznie".

Obcując i przyjaźniąc się z pisarzami i osobistościami tej miary, co Stefan Żeromski, Bolesław Prus, Stanisław Przybyszewski, Władysław Reymont, Jan Lemański, Wacław Sieroszewski i inni, Lorentowicz dźwiga cały skarbiec wspomnień i wiadomości, których cząstkę wydobywa na światło dzienne w szkicach, zebranych w „Spojrzeniu wstecz" pod tytułami: „Reymont w Paryżu", „Powszednie troski Żeromskiego", „Nagroda, która go nie doszła". Tutaj w sposób jasny i szczegółowy, Lorentowicz opowiada dzieje kandydatury pol-

(Dalszy ciąg na str. 6-ej.)

Pokłosie amnestji

Zanim jeszcze amnestja stała się ustawą i weszła w życie, zaznaczyliśmy swe wobec niej stanowisko. Nie chodziło nam o to, jak władze wymiaru sprawiedliwości poradzą sobie z kłopotem rozmieszczenia więźniów w przepełnionych więzieniach. Nasz pogląd na amnestję oparty był na fakcie istnienia w społeczeństwie, a nie w apartamencie więziennym, poczucia, iż wymiar sprawiedliwości w sądach jest zbyt surowym i bezwzględnym. Do amnestji, odnieśliśmy się krytycznie, uważając ją za nazbyt sumaryczny sposób poprawiania praktyki sądzenia i skazywania w najbliższej przeszłości paru lat ostatnich. Domagaliśmy się, aby po amnestji nastąpiła era większej powściągliwości w ściganiu wątpliwych przestępstw i w karaniu niewątpliwych przewinień.

Chodziło nam jednem słowem o to, aby nauka nie poszła w las. Aby zostało zrozumianem, że zbyt surowy wymiar sprawiedliwości karzącej, nie uwzględniający komplikacyj, wynikłych z przełomowego momentu, jaki przeżywamy, z kryzysu, w którego kleszczach się wijemy, — prowadzi w rezultacie do tego, że zaczyna brakować miejsc w więzieniach, że wyroki muszą pozostawać niewykonanemi w oczekiwaniu na „wakans" więzienny. To paradoksalne zjawisko tylko w części można przypisać wzrostowi przestępczości, jaki rzeczywiście istnieje; na jego powstawanie nie mniejszy wpływ miała i długoletniość wymierzanych kar i — hojne szafowanie aresztem śledczym w wypadkach, kiedy bez szkody dla wymiaru sprawiedliwości można go było unikać.

Na to wszystko wskazywaliśmy już, wołając o naprawę: żeby te zjawiska przestały się powtarzać. Natomiast uprzedzaliśmy, iż sumaryczne zastosowanie amnestji będzie miało w skutku w wielu razach powrót do przestępstwa.

Te ostatnie przewidywania zaczęły się sprawdzać od pierwszego niemal dnia otwarcia wrót więziennych dla amnestjowanych. Nie brakło nawet wypadku, gdy wypuszczony na wolność więzień został przyłapany na kradzieży... spirytualij, któremi pragnął oblać dzień odzyskania swej wolności.

Nie należy przejmować się temi wypadkami, ani nadawać im przesadnego znaczenia. Gdyby amnestji nie było wcale, pewna część przestępców, odbywszy normalną, nieskróconą karę, również wróciłaby niezwłocznie na drogę przestępstwa. Gorzej — iż wypuszczono amnestjonowanych w okresie zimowym, gdy bezrobocie nasila się, nie mając żadnej możności zapewnienia im środków egzystencji. Iluż ich wróci na drogę przestępstwa z konieczności! Ilu być może powróci na nią umyślnie, aby znaleźć się spowrotem pod kluczem, bo — więzienie to bądźcobądź „dach nad głową", gdy tego dachu brak w porze zimowej; więzienie — to sposób przetrwania w sposób upokarzający i prymitywny, lecz jednakże — sposób przetrwania do „lepszych czasów".

Nie będziemy wypominać tych wypadków twórcom amnestji, bo są one nieuniknioną odwrotną stroną medalu, jaką posiada każde w zasadzie dobre poczynanie. Natomiast musimy podkreślić z całym naciskiem, że w dalszem sprawowaniu wymiaru sprawiedliwości nic się nie zmieniło na lepsze. Ten przerażający przykład, że w więzieniach zabrakło miejsc, w najmniejszym stopniu nie wpływa na stanowisko szafarzy sprawiedliwości. Dziś miejsca są — a więc...

Wydawaćby się nawet mogło, że specjalnie są wykorzystywane słabe strony ustawy amnestyjnej. Słabą zaś jej stroną jest to, iż omija ona wszystkich, skazanych na cięższe kary. Sypią się więc wyroki tak surowe, że amnestja ich nie obejmuje. Wymiar kar stał się znacznie surowszym niż przed kilku jeszcze laty. Za pewne kategorje przestępstw politycznych zaczyna być poamnestyjnym zwyczajem — skazywać powyżej dziesięciu lat więzienia, żeby aby nie stanąć wobec konieczności łagodzenia kar z mocy amnestji. Mieliśmy tego przykład w niedawnych głośniejszych procesach politycznych.

Niema mowy o jakiemś ujednostajnieniu wymiaru sprawiedliwości, o ustalonym stosunku do samego zjawiska przestępstwa politycznego. Przestępca polityczny jest zdany na łaskę i niełaskę: każdy się z nim obchodzi wedle miary swego gniewu, swej zaciętości i surowości.

Czy tak samo myślimy my, społeczeństwo, my — zastanawiający się nad przyczynami zjawisk, odnajdujący ich korzenie w samem zachwianiu się powszechnem pojęć społecznoustrojowych? Czy może rzecz dzieje się przeciwnie: może braknie kontaktu z poglądami i pojęciami społeczeństwa ze strony tych, którym to społeczeństwo powierzyło władzę karania?

A cóż się dzieje w zakresie ścigania przestępstw i formułowania oskarżeń? Każdy ma jeszcze świeżo w pamięci znany „proces wileński" — proces młodzieży uniwersyteckiej, jakby dla większej konfuzji wszczęty w mieście, gdzie żyje i trwa mocno pamięć sprawy filaretów? Tu sąd znalazł się na wysokości zadania i uniewinnił młodych ludzi, ściganych za to, że myśl ich pracowała badawczo, że nie zatrzymywała się u opłotków, stworzonych przez zakazy „konfidentów" i tych, którzy konfidentami rządzą i kierują. Lecz jednak sam proces miał miejsce, jednakże przez szereg dni ważyły się losy młodzieńców, ośmielających się myśleć „niecenzuralnie", jednakże istniały władze, które mniemały, że miejsca w więzieniach opróżniły się dlatego, aby wchłonąć młodych studentów, ośmielających się myśleć o tem, co dla przybyszów z Rosji jest raz na zawsze potępione, wyklęte, wyrzucone poza nawias myśli.

Sądownictwo jest i winno być niezależne. Lecz niezależne — od nacisku jakiejkolwiek władzy, od wszelkich rozkazów lub sugestyj. Czy jednak może być niezależnem od poziomu myśli społeczeństwa, nie godzić się z niem, stwarzać swoje własne systemy pojęć? Jest to stanowczo niebezpieczny eksperyment wyodrębniać się w kastę, obcą pojęciom społeczeństwa, zgodną jedynie z instynktami, tkwiącemi w pewnych tylko jego war[s]twach — nie uświadomienia sobie takiego rozdwojenia pojęć, to — napewno w walce społeczeństwa z kastą musiałaby przegrać — kasta. Pragnąć należy ze wszechmiar, aby takie przedstawienie o przeciwstawności pojęć nigdy nie powstało.

Żadne z pojęć prawa karnego nie zmieniło się od początków istnienia Rzeczypospolitej. Mimo zmiany kodeksu, to wszystko, co było uważane za przestępstwo, tak samo i dziś przestępstwem pozostaje. Jednakże pierwsze pokolenie ludzi, którzy stanęli do służby sprawiedliwości, posiadało w społeczeństwie autorytet osobisty i przodowało społeczeństwu w pojęciach o prawie i sprawiedliwości. Wówczas nie było żadnych wątpliwości co do słuszności tego, co możnaby nazwać polityką penitencjarną sądownictwa. Nie jesteśmy całkowicie pewni, czy można i dziś podtrzymywać całkowicie to twierdzenie. To tu, to ówdzie, powstają znaki zapytania, to w tym, to w innym wypadku trzeba się krzepić przeświadczeniem, że są przecież inne, wyższe instancje, w których wszak napewno zostanie przywrócona zachwiana równowaga.

Delta.

(Dokończenie ze str. 5-ej.)

skiej do nagrody Nobla, która była jaknajstaranniej przygotowana i, zdawało się, najzupełniej zapewniona dla Żeromskiego. Niespodziewanie jednak, zamiast twórcy „Popiołów", nagrodę otrzymał Reymont, co przypisywano wpływom i naciskowi rządów W. Witosa i Wł. Grabskiego, którzy uważali Żeromskiego za przedstawiciela opozycji lewicowej, a więc niegodnego otrzymania literackiej nagrody szwedzkiej Fundacji Nobla. „Żeromski — powiada Lorentowicz — zamknął się w sobie i nie okazał nikomu z obcych, jakie na nim wrażenie wywarł ten ciężki zawód. Martwił się podobno tylko ze względu na swoich najbliższych, którzy z nagrodą Nobla dla drogiej im Osoby już się oswoili i oczekiwali niecierpliwie chwili jej ogłoszenia. Jedna tylko pani Czarnocka, entuzjastyczna wielbicielka talentu Żeromskiego, która wraz z mężem pracowała nad propagowaniem jego utworów w Szwecji, rozpłakała się, jak ktoś, kogo ciężko i boleśnie skrzywdzono".

W szkicu znów p. t. „Na tym padole", Lorentowicz z dyskretnem rozrzewnieniem odtwarza tragiczny los znakomitego satyryka i bajkopisarza Jana Lemańskiego; w szkicu zaś p. t. „Bohaterski żywot" rozwija z zapałem epopeję Wacława Sieroszewskiego. Potem znów w rozdziale pod wymownym tytułem „Walka z cieniem" uchyla rąbek makabrycznych przejść Stanisława Przybyszewskiego, a także J. A. Kisielewskiego w szkicu p. t. „Połamane skrzydła".

Trudno tutaj streszczać lub omawiać wszystkie rzeczy, zgromadzone w „Spojrzeniu wstecz". jest ich bowiem dwadzieścia pięć na różne tematy, o różnem znaczeniu biograficznem i może niejednakowej wartości literackiej. Ale można być zupełnie spokojnym, że czytelnik, nawet najbardziej wybredny i zajmujący wysoki szczebel umysłowej i duchowej kultury, uzna je w znacznej większości za niepospolite i oddane przez Jana Lorentowicza w skali niewątpliwie mistrzowskiej.

Książka „Spojrzenie wstecz"*) stanowi jakby chwilę wytchnienia w twórczości Lorentowicza, nikt bowiem nie wątpi, a nadto sam nagłówek wskazuje, że ten zasłużony pisarz, idący ciągle naprzód przez kilka dziesięcioleci, obejrzał się tylko za siebie i westchnął głęboko jak strudzony pielgrzym na wyboistej drodze życia, iżby po chwili znów ruszyć dalej twardym, mocnym krokiem ku upragnionym celom i umiłowanym ideałom! Z tej pięknej drogi oczekujemy jeszcze od Jana Lorentowicza „Spojrzenia wprzód".

Henryk Lukrec.

*) Jan Lorentowicz: „Spojrzenie wstecz". Nakładem Funduszu Wydawniczego Leopolda Wellisza. Skład Główny w Księgarni J. Mortkowicza Warszawa, 1935.

Głos Czytelnika

„ECHO" jako dziennik

W artykule p. Hulki-Laskowskiego, którego jako pisarza-publicystę cenię i szanuję za jego wciąż walczącą z pętami wolną myśl, — znajduję tego rodzaju pytanie: „Co może wpłynąć skutecznie na awans społeczny „Echa Społecznego"? „Co może zmienić dwutygodnik na tygodnik lub może nawet dziennik?"! — „Kontakt czytelnika z pisarzem publicystą" — a powtarzając słowa p. Hulki - Laskowskiego dodam od siebie: „i takie małe conditio sine qua non: dobra, piękna i pogodna — naprawdę pogodna!—i wolna od więzów współczesnego życia — myśli!" A tak dziś o nią trudno i ciężko, że obawiam się, że i mnie porzuci na zawsze — bo właśnie wracam z biura. Taki senny, taki ciężki, jak tysiące paragrafów, setki przepisów i krocie okólników, — które — o, bogowie moi! potrzebne dla życia, potrzebne dla mego codziennego chleba! — czynią mi mózg pustym, a myśl tak jałową, jak wzniosłą i bezgraniczną jest duchowa treść okólnika Nr. 50.304, punkt. 14. ustęp 4, litera **a** — część VII. Zapoznanie się z nim zalecam wszystkim znanym i nieznanym Kolegom. Boska treść! Ale wracajmy ad rem: „O równe prawa" — „nowe wielkie zadania" — „nędza i przestępczość". — „Dzieci jak kwiatki" — „wyprostujmy karki"! — jeden artykuł cenniejszy od drugiego. Ale dziennik— mój! mego Związku! — moja gazeta musi być związana z moim kołem duchowem — myślowem kołem szarego człowieka pracy. I niech mi przynosi choć odrobinę światła i słońca, wiary w człowieka jako cząstki całości — i wiary w jego przyszłość!

Nie wynika z tego bym ja, człowiek pracy vel umysłowy parjas, tej wiary i ufności nie miał, — lub miał jej za mało, lub mógł! — mieć jej za mało,— ale dziś, w tych smutnych latach ludzkiej nędzy i męki, dość mamy na każdym kroku biedy i walki, wyzysku i bezrobocia, trudu i karteli lub konieczności wprost nadludzkiego wysiłku pracy, aby nie potrzebować wyłuskiwać ze współczesnego życia tych odrobin piękna i dobra, które, chociaż nikną w współczesnym chaosie postępu i w konfliktach myśli, uczuć i obowiązków z warunkami codziennego życia — ale są! — były! będą i zawsze być muszą! zawsze i wiecznie — jak dobro i piękno!

Ja cieszę się, że moja gazeta, pismo mego związku — albo Echo! — tak różni się od bezmiaru bezwartościowych — współczesnych druków i gazet! że niesie mi treść i myśl, ale zapomina o tem, że mając ją co dwa tygodnie pełną powagi — pozostawia mi dzień codzienny na taką, inną lub siaką treść!— gazet brukowych. Ta treść to więcej niż rozkosz!—wsłuchajcie się tylko w tytuły: 1) „Tragiczny skok z 100-ego piętra na schadzkę z kochanką"! 2) „Djament z podwiązki królowej Siamu i artystyczne skarpetki jej kochanka", 3) „Hauptman i dr. Condon bohaterami U. S. Of. America. Niech żyją wiecznie!", 4) „Abisyńskie djabły przyswajają gwałtownie kulturalne błogosławieństwa i posłannictwo Włoch", 5) „Straszne cudo! Zejście świętego Nenufara na ziemię! fakt pod 39° szer. geogr. Pielgrzymki miljonów wiernych!", 6) „Sprytna defraudacja! Zaleca się wszystkim Czytelnikom! Generalna apoteoza świństwa. Bliższe wiadomości w Redakcji „Prasy za 10 groszy". I t. d. w nieskończoność.

O Dobre Echo!... Mądre Echo! Stań się wreszcie dziennikiem i uwolnij mnie, szarego człowieka pracy, od codziennej radości i korzyści brukowej prasy!

Dam Ci 1 zł. miesięcznej składki więcej — mimo kryzysu i obniżek!!

Klnę się na wszystkie urzędnicze świętości!

Gadzki

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani Irena Krop..nicka, Warszawa. Dziękujemy za przychylną opinję o „Echu". Artykuliku nie wydrukujemy.

PP. Adam Zał..ski, Edward Kalin..ski, Jerzy Szwej..cki i Marja Les..ska w Warszawie, oraz PP. Zofja Mak..czowa, Lwów, Helena Rasta..cka, Kraków, Jan Jur..k, Poznań. Przesłanych utworów nie wydrukujemy.

P. Władysław Wrób...ski, Lwów. Istotnie „konfiskata" „Echa Społecznego" przez jednego z pracowników, który chciał w ten sposób zdobyć łaski swego nowego zwierzchnika, miała miejsce. Sprawa owego niepowołanego „cenzora" zostanie załatwiona w drodze organizacyjnej.

Wtórniki numeru „Echa Społecznego" przesłaliśmy naszym prenumeratorom w tem mieście pod ich adresami prywatnemi. Przepraszamy za zwłokę, ale... ugrzęźliśmy na chwilę w błocie!

Pani Ewa Żac..cka, Warszawa. Prawdopodobnie umieścimy korespondencje własne z zagranicy już w najbliższych numerach „Echa" Wydawnictwo nasze nie zmienia swego zasadniczego układu; będą zatem i nadal utrzymane trzy działy pisma: spraw pracowniczych, publicystyczny i literacko-artystyczny.

Pan Józef Ko-cki, Kraków. Prosimy o przesłanie zapowiedzianych artykułów dyskusyjnych. Ocena, oczywiście, po ich otrzymaniu.

P. K. So-g, Wilno. Stanowisko „Echa Społecznego" w poruszonej przez Pana sprawie podajemy w artykule „Dziecinnada". Prosimy wywrzeć wpływ, aby nie kompromitowano organizacji i jej członków.

P. Marja Las-ka, Katowice. Ogłoszenia płatne przyjmujemy. Spółpraca na procentach. Czekamy na projekty kosztorysów.

Ciekawe orzeczenia
w sprawach pracowniczych

Sąd Najwyższy rozpatrywał w swoim czasie ciekawą sprawę, **ważną dla szczegółowego określenia momentu rozwiązania umowy o pracę między pracownikiem a pracodawcą.**

W danej sprawie pracodawca wymusił na pracowniku pisemne zrzeczenie się wszelkich pretensyj materjalnych pracownika do pracodawcy w związku ze stosunkiem prywatno-prawnym, jakim jest umowa najmu pracy.

Pracodawca, rozwiązując stosunek umowny, a więc wymawiając pracownikowi posadę, oświadcza, że wypłaci pracownikowi odchodzącemu należną mu trzymiesięczną pensję tytułem odprawy, ale pod warunkiem złożenia piśmiennego zrzeczenia się wobec pracodawcy jakichkolwiek pretensyj finansowych. Pracownik nie otrzymał wynagrodzenia za godziny nadliczbowe, nie wykorzystał w danym roku kalendarzowym urlopu. Wobec jednak kategorycznej postawy pracodawcy podpisuje akt zrzeczenia się wszelkich pretensyj z tytułu umowy o pracę. Wzamian otrzymuje trzymiesięczną pensję.

Pracownik, mimo złożonego aktu, sprawę przekazuje sądowi. W motywach skargi, dowodzi, że działał pod presją i że jego oświadczenie, jako akt zrzeczenia, złożony pod presją, nie jest ważny. Pozywa pracodawcę o wypłatę należnej sumy za nadliczbowe godziny i niewykorzystany urlop.

Sprawa w toku instancji oparła się o Sąd Najwyższy, który wydał decydujące w tym względzie orzeczenie.

Orzeczenie to stanowi:

oświadczenie pracodawcy, że wrazie niepodpisania przez pracownika aktu zrzeczenia się dalszych roszczeń z tytułu najmu pracy, nie wypłaci mu trzymiesięcznej pensji jako odprawy — nie jest groźbą tak wielką, aby uzasadniała nieważność takiego aktu.

Sąd Najwyższy zatem ustalił, że zrzeczenie się pracownika w wyżej podanych warunkach nie jest wymuszeniem. Pracownik bowiem w razie odmowy złożenia podpisu na takim dokumencie, nie traci swej należności. Jeżeli słusznie jemu należność z tytułu najmu się należy, to może ją zawsze wyegzekwować od opornego pracodawcy na drodze sądowej.

Groźba pracodawcy, że nie otrzyma pracownik odprawy była groźbą nieuzasadnioną i niewspółmierną do praw pracownika. Pracownik o tem powinien był wiedzieć i nie zrzekać się swoich praw.

×

Sąd Najwyższy zajmował się także ostatnio ciekawym wypadkiem, **dotyczącym obniżki płacy.** Na podstawie odpowiedniego stanu faktycznego i skargi kasacyjnej powoda powstało do rozstrzygnięcia pytanie: **czy pracodawca może obniżyć pensję pracownikowi bez uprzedniego wypowiedzenia i czy pracownik przeciwko takiej decyzji pracodawcy może wystąpić na drogę sądową.**

Orzeczenie w głównych swych motywach podaje, że:

zasadniczo pracodawca niema podstawy prawnej do obniżenia pracownikowi pensji bez uprzedniego trzymiesięcznego wypowiedzenia. Obniżki pensji bez uprzedniego wypowiedzenia może jednak dokonać za zgodą pracownika. Jeżeli więc pracodawca obniża pensję pracownikowi, a pracownik nie sprzeciwia się tej obniżce i nie żąda trzymiesięcznego wypowiedzenia, lecz nadal pozostaje na swojem stanowisku, pracując na nowych jednak warunkach, nie może mieć do pracodawcy z tego tytułu jakichkolwiek pretensyj natury prywatno-prawnej.

Wniosek z tego orzeczenia wskazuje, że zmiana warunków pracy może nastąpić, obok zasady przepisanej ustawowo, i drogą obopólnego porozumienia, a raczej obopólnej zgody. Zaznaczyć przytem wypada, że w danym wypadku wystarczy milczące oświadczenie woli ze strony pracownika, który przez pozostanie na swem stanowisku przy nowych warunkach płacy każe formułować domniemanie, że się na nie zgadza.

Tylko więc w razie wyraźnego oświadczenia woli pracownika, że się nie zgadza na nowe warunki i żąda trzymiesięcznego uprzedniego wypowiedzenia, może on rościć pretensje do swego pracodawcy z tytułu nieuzasadnionej prawnie zmiany warunków umowy najmu pracy.

×

W Sądzie Najwyższym rozstrzygnięto również odpowiedź na ciekawe dla pracowników pytanie: **czy pracownik może skutecznie dochodzić swej należności za niewykorzystany, z własnej winy, urlop.** Odpowiedź w formie tez orzeczenia zawiera taką tezę:

Wynagrodzenia za niewykorzystany urlop pracownik może żądać tylko wtedy, jeżeli pracodawca odmówił udzielenia mu urlopu. Jeżeli więc pracodawca zwlekał z udzieleniem urlopu, ale pracownik nie udowodni, że się o ten urlop dopominał, że może on rościć sobie prawa do rekompensaty za niewykorzystany wypoczynek.

A więc, rozszerzając główną linję tego orzeczenia, pracownik nie może dochodzić należności za niewykorzystany z własnej winy urlop, przyczem pod pojęciem własnej winy jest tu rozumiane również — niedopominanie się o należny urlop.

OD WYDAWNICTWA.

Wobec stałych skarg, otrzymywanych przez nas od czytelników i przyjaciół „Echa Społecznego" na wadliwy kolportaż „Ruchu", prosimy usilnie o niezwłoczne wskazywanie nam konkretnych wypadków nieudolnej działalności „Ruchu" w omawianym zakresie.

Kronika spraw pracowniczych

Od Redakcji: „Echo Społeczne", pragnąc ułatwić swym czytelnikom, interesującym się sprawami świata pracowniczego, właściwą orjentację w tych zagadnieniach w miarę ich rozwoju i regulowania, wprowadza stałą „Kronikę spraw pracowniczych".

Byłoby bardzo pożądane, aby nasi czytelnicy zechcieli komunikać nam swe życzenia lub uwagi, odnoszące się zarówno do układu „Kroniki", jak i do spraw w niej poruszanych.

ZWALNIANIE SZEFÓW „BIUR PERSONALNYCH"

Niezwykle ciekawe i charakterystyczne rozważania o zwolnieniu szefów „biur personalnych" z zajmowanych stanowisk miały miejsce podczas obrad sejmowej komisji budżetowej nad budżetem Prezydjum Rady Ministrów. Ujmiemy je w skrócie wdłg. notatek z posiedzenia.

Pos. Starzak. „...W ciągu jednego prawie miesiąca zwolniono czterech dyrektorów biur personalnych w ministerstwach i pozostawiono ich bez żadnego przydziału. Jest to niezrozumiałe, gdyż ci urzędnicy wykonywali swe funkcje ściśle wdłg. obowiązujących przepisów i pod kontrolą swych ministrów."

Pos. Pacholczyk. „...Zjawiskiem najbardziej niezdrowem w biurach personalnych było to, że dyrektor biura czuł się jakgdyby ponad ministrem..."

P. Grzybowski, Podsekretarz Stanu Prezydjum Rady Ministrów. „...Zagadnienie biur personalnych jest nader trudne. Dążymy do jego uproszczenia i udoskonalenia. W każdym resorcie musi się to odbywać pod kierownictwem i odpowiedzialnością szefa danego resortu. Sądzę, że dobór urzędników musi się odbywać przedewszystkiem pod kątem selekcji charakterów. Ponieważ kwalifikowanie urzędników należy do ich przełożonych, nie bardzo umiem odpowiedzieć na pytanie posła Starzaka. Ci panowie, którzy zostali zwolnieni, są zwolnieni przez swych przełożonych na podstawie ich kwalifikacyj..."

Niezwykle wielemówiącą, ale jakże słuszną, odprawę otrzymał poseł Starzak od przedstawiciela rządu na swe gorzkie żale.

Świat pracowniczy nie traci nadziei, że niedawna przeszłość i najbliższa przyszłość administracji państwowej i samorządowej dadzą czynnikom rządzącym dostateczny materjał do powzięcia spiesznej decyzji o likwidacji tej obmierzłej polityki personalnej w urzędach i instytucjach, opartej na biurach detektywno-policyjnych, prowadzonych przez pseudo-urzędników, niezawsze odpowiadających, jak się okazuje, wymaganiom selekcji charakterów.

CIEKAWE WYNURZENIA POSŁÓW W ZWIĄZKU Z BUDŻETEM MINISTERSTWA OPIEKI SPOŁECZNEJ

Pos. Z. Madeyski. „Istnieje u nas jakiś wstyd, czy obawa przed wyraźnem uwzględnieniem Świata Pracy w budowie Państwa. A przecież Konstytucja nakłada na nas obowiązek uwzględnienia świata pracy. Głos świata pracy oficjalnie, ustrojowo w Polsce nie istnieje. Kwestja uzupełnienia samorządu pracy przez Izby Pracy jest bardzo pilna. Gdyby Pan Minister uznał za niemożliwe opracowanie tego zagadnienia, to czy nie byłoby słuszne, żeby Parlamentarna Grupa Pracy przejęła inicjatywę w zgłoszeniu projektu ustawy o Izbach Pracy?..."

Pos. Kamiński. „Uwam, że nadszedł już ten czas, że robotnik musi otrzymać prawo wpływania na losy warsztatu, w którym przepracował kilkanaście lat, że nie mogą o zamknięciu, czy istnieniu warsztatu wyłącznie dla zysków osobistych decydować tylko utytułowani panowie w radach nadzorczych..."

Są to tylko wypadkowe — że tak się wyrazimy — głosy poselskie. Do tej bowiem chwili Parlamentarna Grupa Pracy nie nawiązała ściślejszego kontaktu ze światem pracowniczym i jego publicystyką, którzy nie orjentują się w tem, do czego zmierzają i czego pragną pracowniczy przedstawiciele parlamentarni.

Jesteśmy nadal tego zdania, że brak omawianego kontaktu powoduje wręcz nieobliczalne straty moralne i rzeczowe dla świata pracowniczego, wpływając hamująco na właściwy rozwój aktualnych zagadnień pracowniczych. Doprawdy, czy tak trudno — przy dobrych chęciach — kontakt taki nawiązać i pogłębić? Anormalny stan w tej dziedzinie ujawnia m. in. notatka, jaka ukazała się kilka dni temu w prasie stołecznej. Informuje ona, że 21 stycznia r. b. odbyło się zebranie Parlamentarnej Grupy Pracy. Mówcy silnie akcentowali fatalny stan gospodarki ubezpieczeniowej i podkreślali konieczność natychmiastowej interwencji dla uniknięcia groźnych skutków spo-

WALKA PRACOWNIKÓW SAMORZĄDU TERYTORJALNEGO O PRAWA PRACOWNICZE

Odbyło się ostatnio posiedzenie władz związku zawodowego pracowników samorządowych, poświęcone rozważeniu opracowanego przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych projektu ustawy emerytalnej. Przepisy projektu tej ustawy ograniczają wysokość emerytur w niektórych wypadkach od 40 do 60%.

Władze związku zawodowego wypowiedziały się zdecydowanie przeciwko takiemu ujęciu przepisów emerytalnych, jak również przeciw projektowanemu centralnemu zakładowi emerytalnemu, natomiast za utrzymaniem ubezpieczenia emerytalnego przez poszczególne samorządy we własnym zakresie.

Zarówno powyższy projekt ustawy emerytalnej, jak i projekty ustawy o odpowiedzialności tych funkcjonarjuszów i o ich uposażeniach są obecnie przedmiotem narad sejmowej komisji samorządowo-administracyjnej.

Nie zajmujemy jeszcze w tej sprawie stanowiska, albowiem traktujemy obecną jej fazę jako początkową, a dwustronne projekty raczej za materjał do dyskusji i uzgodnień, aniżeli jako wyraz stanowiska zdecydowanie zajmowanego przez jedną ze stron zainteresowanych.

W każdym bądź razie podkreślamy, iż traktujemy wszelkiego rodzaju intencje władz samorządu, zmierzające w kierunku pogorszenia warunków pracy i płacy pracowników, za niedopuszczalne. Pamiętajmy bowiem o tem, że świat pracy w Polsce stanowi opokę, na której opierają się poczynania rządu nad uporządkowaniem aktualnych i zawiłych zagadnień państwowych.

6-cio MIESIĘCZNE WYMÓWIENIE PO 10 LATACH PRACY

Sąd Najwyższy wydał ostatnio orzeczenie, mające zasadnicze znaczenie dla regulowania uprawnień pracowników umysłowych.

Artykuł 469 Kodeksu Zobowiązań postanawia, że pracownicy umysłowi, którzy pracują przynajmniej 10 lat w jednym zakładzie pracy, mają prawo przy likwidacji stosunku najmu pracy do 6-cio miesięcznego wymówienia lub do odszkodowania w wysokości 6-cio miesięcznej ostatnio pobieranej płacy. Dla pracowników, którzy przepracowali w tych samych, jak wyżej, warunkach mniej, niż lat 10 — czas wymówienia obowiązuje 3 miesięczny.

AWANSE URZĘDNICZE NA 1 MARCA r. b.

Stowarzyszenia urzędników państwowych wszczęły akcję u rządu w sprawie zbliżającego się awansowania urzędników z dniem 1 marca r. b. Urzędnicy państwowi zabiegają, aby awanse otrzymali przedewszystkiem ci spośród nich, którzy doznali poważniejszego uszczuplenia płac na skutek zeszłorocznej reformy uposażeniowej. Proponowane jest również równomierne rozłożenie liczby awansów nietylko w urzędach centralnych, ale i na prowincji.

Zwracamy uwagę wszystkich naszych bratnich pracowniczych organizacyj zawodowych na tę sprawę również i z tego względu, że w szeregu instytucyj obowiązują przepisy służbowe, regulujące sprawy uposażeń i awansów według postanowień w tym zakresie władz państwowych w stosunku do swych urzędników.

Dalszy ciąg na str. 8-ej.

WACŁAW ROGOWICZ

Muzyka nocą

Nakładem tow. wydawniczego „Rój", ukazał się nowy tom Aldous'a Huxley'a p. t. „Muzyka nocą". Spolszczyła tę książkę (z przyjemnością to podkreślam), doskonale Krystyna Szerer; jeden fragment „Wyścig z przeszkodami", niemniej dobrze przełożył gen. Wieniawa - Długoszowski — i to wcale nie dlatego, że jest kawalerzystą, bo ten „Wyścig" to przenośnia.

Aldous Huxley nie jest obcy tym polskim czytelnikom, którzy radzi biorą do ręki książkę, zmuszającą do myślenia, a jednocześnie żywą w stylu i sposobie ujęcia tematów. Tematów, nie tematu, bo Huxley, choć napisał powieść „Ostrze na ostrze", nie jest powieściopisarzem. Jest on świetnym przedstawicielem essay'u, rodzaju literackiego, łączącego w sobie elementy literatury, estetyki, historji, filozofji, etyki, socjologji, ekonomji i innych dziedzin wiedzy, w najrozmaitszych związkach i proporcjach. Założeniem i ogólną więzią ideową essay'ów Huxleya jest **próba znalezienia miejsca dla myślącej jednostki w dzisiejszym świecie.**

Tak przynajmniej rozumiem stanowisko tego pisarza, łączącego olbrzymią skalę zainteresowań z wielkim zasobem wiedzy i pierwszorzędnemi zaletami pióra. Przypatrując się obliczu duchowemu Huxleya w zwierciadle jego pism, nietrudno dostrzec, że **intelektualizm i indywidualizm** to podstawowe wiązadła struktury psychicznej i zarazem hasła jego walki przeciw prądom i zjawiskom, wrogim tym kierunkom. Czy to będzie owe „Ostrze na ostrze" (raczej wymiana myśli, niż powieść), czy „Drwiący Piłat" (wrażenia z podróży naokoło świata), satyra na mechanizację człowieka: „Nowy wspaniały świat", czy wreszcie ostatni tom essayów: „Muzyka nocą" — zawsze Huxley występuje w obronie praw jednostki przeciw dzisiejszym polityczno - społecznym zakusom zdeptania tych praw i zamiany żywego człowieka już nawet nie w kółko, lecz w jakąś bezosobową i bezimienną cząstkę wielkiego bezdusznego mechanizmu, który w przekonaniu nowoczesnych proroków ludzkości ma ją uszczęśliwić.

Huxley — trzeba to podkreślić — nie jest indywidualistą krańcowym, wrogiem zbiorowości (byłby wtedy tylko anachronicznym antyspołecznym dziwolągiem). Należąc do narodu o wybitnym zmyśle rzeczywistości, ma zbyt wiele zdrowego rozumu, by nie pragnął stworzenia harmonji, z jednej strony — między potrzebami ciała a potrzebami duszy (w czem jest podobny do swego znakomitego zmarłego przyjaciela D. H. Lawrence'a), z drugiej — między prawami jednostki, a postulatami zbiorowości. Uznając konieczność więzów społecznych, widzi ich rację nie w służeniu jakiemuś fetyszowi, jakiejś dogmatycznej abstrakcji, lecz we współdziałaniu gromady dla zapewnienia maksimum duchowego przedewszystkiem rozwoju **indywiduom, tę gromadę tworzącym.**

Stąd nienawiść Huxleya do takiego **stosunku człowieka do pracy,** jaki realizuje prorok mechanizacji Ford, dla którego historja ludzkości jest „bujdą" — według jego własnej, określającej typ umysłowy, definicji.

Stąd też płynie sceptycyzm tego świetnego intelektualisty w ocenie wartości ustrojowej, zarówno komunizmu, jak faszyzmu, w których Huxley, głęboki obserwator swej współczesności, widzi krańcowy nowoczesny romantyzm, w gruncie rzeczy równie przesadny i życiowo małowartościowy, jak stary rozwichrzony romantyzm sprzed stu lat.

Światopogląd Aldousa Huxleya, najlepiej może charakteryzują poniższe słowa, na str. 218 „Muzyki nocą":

„Jedyną filozofją, która ma jakiekolwiek widoki utrzymania trwale swej wartości, jest filozofja, licząca się z wszystkiemi faktami — faktami umysłu i faktami materji, instynktu i intelektu, indywidualizmu i zbiorowości.

Człowiek mądry będzie unikał obu krańcowości romantyzmu i wybierze realistyczny złoty środek".

Wacław Rogowicz

LEONJA JABŁONKÓWNA

„Dzieciństwo sielskie anielskie"
na ekranie

Któż może się oprzeć czarowi jasnej główki, małych pulchnych rączek, wygięcia słodkich usteczek Shirley? Kiedy jej maleńka zgrabna figurka przebiega ekran, serca widzów topnieją ze wzruszenia. W prześlicznych wielkich oczach dziecka kryje się prośba, wobec której niepodobna pozostać nieczułym, prośba-rozkaz: kochajcie mnie. I widownia poddaje się temu wzruszającemu i łatwemu do spełnienia wezwaniu. Miękną serduszka pensjonarek, czujących pierwsze drgnienie nieuświadomionego, dalekiego jeszcze instynktu, uśmiechają się z tkliwością twarze młodych matek, ale już niewątpliwą mgłą wzruszenia zachodzą oczy tych wszystkich dam, qui ne veulent pas d'enfants. Nawet mężczyźni, którzy po całodziennem zbijaniu gotówki zwykli spędzać wieczory na bridżu i pokerze i w dzień powszedni dostają konwulsyj na widok jakiegoś zasmarkanego noska, albo na sam dźwięk piskliwego t. zw. „głosiku" — nawet oni trzy razy do roku rozrzewniają się w niedzielne popołudnia, gdy Shirley wstrząsając złotemi kędziorkami usiłuje mężnie pokonać ochotę do płaczu. Wzruszenie i zbożne podniesienie ducha dochodzi szczytu w momentach przełomowych: gdy Shirley doprowadza do przykładnej zgody nierozsądnych rodziców, albo gdy za jej sprawą grzesznik — najczęściej nieodzowny w filmie amerykańskim gangster — objawia również nieodzowną w filmie amerykańskim skruchę, dobrowolnie idzie do więzienia, by tam odpokutować występki i w ten sposób przywrócić znów zakłócony na chwilę przyzwoity porządek świata. „Jaka Shirley jest dobra — jaki człowiek wogóle jest dobry" — mówią z rozczuleniem panowie i panie, wychodząc z kina. Jest to oczywiście tylko symboliczna przykrywka dla tego utajonego procesu myślowego, który się w tej chwili w nich odbywa: „Jacy my jesteśmy dobrzy — my, którzy potrafimy jednak rozczulać się nad małą Shirley". I zadowoleni, pogodzeni ze światem i z sobą, wracają do domu, gdzie czeka ich rozprawa z bezczelną boną, która doprawdy rozpuściła już bębny jak bicz dziadowski. Najczęściej zresztą czeka ich brydź albo weksel do płacenia — nietylko na Shirley, ale na bardziej pospolitego Jureczka czy Bożenkę miejsca niestety niema.

I to jest właśnie „tajemnica małej Shirley". Nietyle zresztą jej, ale ekranu amerykańskiego, który chętnie udziela swoim odbiorcom takich premij na „wyżycie utajonych tęsknot". Te premje lepiej niewątpliwie opłacają się producentom, niż konsumentom, jakkolwiek i ci ostatni wcale dobrze wychodzą na całej tranzakcji. Za 2, najwyżej 3 złote doznać uczucia „oczyszczenia", rozczulić się własną niewinnością i dziecięcą prostotą, i dzięki jednemu „happy end" wśród sielskich farmerów, albo uczciwych mechaników amerykańskich, uspokoić swoje sumienie społeczne — czyż to nie doskonałe rozwiązanie?

Biedna mała Shirley, słodkie stworzonko, które tak nieświadomie, tak niewiedzący, staje się „zdrajcą swojej własnej klasy"! Oczywiście, klasy dzieci. Bo różnie można traktować filmy tego typu: jako środek do wyreagowywania się niezaspokojonych tęsknot macierzyńskich; jako lepki plasterek na zaklejanie ukrytej a głębokiej rany; jako prymitywną landrynkę dla snobistycznego podniebienia, znudzonego na chwilę pikantnemi przyprawami. Jedno tylko podejście jest niemożliwe: to nie są *filmy dziecięce*, to nie są utwory ekranowe, które mają reprezentować świat dziecka, jego istotne potrzeby i bolączki, ukryte motywy jego skomplikowanej i wrażliwej psychologji, jego znaczenie społeczne. Nietrudno zresztą zrozumieć, że takie właśnie a nie inne podejście w filmie amerykańskim jest bardzo konsekwentnie przemyślane i przeprowadzone i że ma swoje niedwuznaczne uzasadnienie społeczne.

Że można inaczej podejść do zagadnienia filmu dziecięcego — przykładem genjalne dzieło ekranu francuskiego „La Maternelle". Niestety, tytułu polskiego podać nie możemy, gdyż film ten, mimo że jest już w Warszawie, nie został jeszcze podobno uznany za nadający się do wyświetlania w naszych kinach. Jest na to za mało słodki, za mało landrynkowaty. Może poprostu jest zbyt prawdziwy, zbyt potężny w swej bezpośredniości i zbyt wstrząsający w swej wymowie społecznej?

Film ten osnuty jest na życiu małej społeczności „żłobka" dla dzieci 2 — 6-letnich w Paryżu. Nie jest agitacyjny. Nie jest programowy. Pokazuje dzieci bez złotych loków i nieuśmiechające się czarująco. Są tam nawet takie, które wogóle nie umieją się uśmiechać. Są złe, nieznośne chorowite. Są wesołe i tragiczne. Są dzieci — dzieci konkretnego zbiorowiska, dzieci nędzy. Ale może nawet nie sprawa ich przynależności społecznej jest najważniejsza. Najważniejsze — że to są właśnie *prawdziwe dzieci* pokazane na ekranie, a nie jakiś wyabstrahowany, wyidealizowany symbol: „dzieciństwo sielskie anielskie...".

Dokładną recenzję z tego niezwykłego filmu trzeba oczywiście odłożyć do czasu, gdy będzie on już ostatecznie u nas wyświetlany. Tymczasem tylko taka o nim wzmianka, dla zaznaczenia kontrastów możliwych na płaszczyźnie zagadnienia tak, zdawałoby się, prostego jak film dziecięcy.

Leonja Jabłonkówna

Kronika spraw pracowniczych

(Dalszy ciąg ze str. 7-ej).

URZĘDNICY PAŃSTWOWI WYSTĘPUJĄ PRZECIWKO PRZEPISOM EMERYTALNYM

Reprezentacja zawodowa urzędników państwowych uchwaliła wystąpić do rządu z prośbą o nowelizację ostatniego dekretu emerytalnego. Uchwała zmierza w kierunku skasowania przepisu, zmniejszającego o 25% liczbę lat służby zaborczej, przeliczającego każdy rok tej służby w stosunku 9 miesięcy oraz ograniczającego zaliczenie okresu wojskowej służby frontowej.

Mając na uwadze niezwykle ciężką sytuację finansową Państwa, spowodowaną m. in. olbrzymiemi sumami wydatków rzeczowych oraz różnego rodzaju świadczeń pieniężnych na rzecz obywateli, nie uważamy za słuszne i uzasadnione utrzymanie nadal takiego zaopatrzenia emerytalnego, którego wymiar nie różnicowałby okresów pracy w Niepodległej Polsce, lub bezpośrednio dla Jej powstania oraz pracy w państwach zaborczych. Musimy przeciez umieć odróżnić wartość dla Polski służby w armji carskiej, pruskiej, czy też austrjackiej od służby czynnej w Wojsku Polskiem; pracę w pol kiem Ministerstwie Spraw Wewnętrznych od „zaniatij w kancielarji warszawskawo gienierał — gubiernatora" i t. d.

Natomiast mamy zastrzeżenia co do kolejności chwytów oszczędnościowych w dziedzinie wydatków personalnych. Uważamy bowiem za słuszne w pierwszym rzędzie polikwidowanie bezwzględne wszelkich komulacyj posad rządowych i samorządowych, łączenia poborów z zaopatrzeniem emerytalnem, zatrudniania w urzędach i instytucjach kilku członków jednej i tej samej rodziny, zatrudniania żon, których mężowie zarabiają pracą najemną lub w wolnym zawodzie conajmniej 500 zł., wszelkich dodatkowych wynagrodzeń szefów i t. d. i t. d. Dopiero po przeprowadzeniu tego rodzaju uzdrowienia stosunków materjalnych w świecie pracowniczym należałoby uregulować zaopatrzenia emerytalne.

To są właśnie istotne zadania i obowiązki normalnie działających wydziałów, czy też sekcyj personalnych, i wpływanie w tej drodze na regulację rynku pracy, a nie bezmyślne i niszczycielskie gnębienie co wartościowszych intelektualnie i zawodowo uczestników świata pracowniczego.

JÓZEF CZYŚCIECKI

Konduktorowa szerokotorowa

Są tematy, wieczne jak głupota ludzka, po których często harcuje pióro dziennikarskie. Należy do nich niewątpliwie sprawa tytułomanji. Tyle razy już przejeżdżano się po tej śmieszności — bezskutecznie, że człowieka korci, aby jeszcze raz wobec grona czytelników „Echa" rzucić się na nią z zębami i pazurami. A nuż to co pomoże?

Nie idę tak daleko, aby kwestjonować celowość używania tytułów wogóle. Ostatecznie powiedzenia: panie redaktorze, doktorze, profesorze, inżynierze, dyrektorze itd. mają rację bytu, określają bowiem od strony podmiotu używającego tytułu jego stanowisko zawodowe; są zatem pewnego rodzaju objektywnem samookreśleniem własnego trudu życiowego. Od strony zaś rozmówcy wyrażają uznanie, aprobatę tego trudu życiowego, wyznaczają niejako płaszczyznę zetknięcia się z osobą tytułowaną. W tym sensie użyte, uzasadnione są również takie tytuły, jak: panie woźny, panie zecerze, czy panie kominiarzu. Śmieszność istnieje dopiero wtedy, gdy podmiot tytułu przenosi punkt ciężkości osobistej z funkcji zawodowej czy społecznej — na samo słowo ją określające, gdy w pewien swoisty sposób r o ś c i sobie pretensję do obdarzania go tytułem, gdy tytuł staje się dla niego wartością samą w sobie, jak niegdyś nazwisko szlacheckie (a z których to waść Kowalskich?), gdy wreszcie samym tytułem, niemającym podkładu faktów do używania go uprawniających, chce się podnieść w hierarchji społecznej, gdy chce, poprostu mówiąc, słowem zastąpić brak treści. Idzie tu o dysproporcję między rolą człowieka w życiu, a tem co sobie w tytule przypisuje. Idzie o zbyt pochlebne wartościowanie samego siebie. I dlatego śmieszne jest, gdy reporter nazywa lub pozwala siebie nazywać redaktorem, nauczyciel szkoły powszechnej — profesorem, a sługa Cieśli z Nazaretu — eminencją, przewielebnym, lub najdostojniejszym pasterzem.

Gdy rozpatrujemy rzecz od strony tytułujących, śmiesznością musimy nazwać mozolne przypinanie każdemu jakiegoś tytułu, samowolne a przypodchlebne awansowanie tytułowanych o kilka szczebli wyżej, lub wręcz nadawanie im tytułów niewłaściwych. Śmiesznem więc jest, gdy ulegając nieuprawnionym roszczeniom osób głupich i zarozumiałych, lub imputując głupotę i zarozumiałość osobom cech tych nieposiadającym, nazywamy kancelistę referentem, a referenta naczelnikiem lub dyrektorem.

Tytułomanja tak weszła w nałóg, zwłaszcza na terenie urzędniczym, że poprostu w rozmowie po słowie „panie" człowiek czuje ziejącą pustkę, którą nagwałt chce zatkać jakimś tytułem.

Pamiętam, kiedyś wypadło mi telefonować w jakiejś sprawie urzędowej do jegomościa, którego znałem tylko z nazwiska.

— Czy pan Ćwierkała przy telefonie? — pytam.

— Tak jest, panie naczelniku, sługa uniżony, rączki całuję, — słyszę w odpowiedzi.

— Panie...

Próbuję sprawę „referować" i tu nagle czuję, że po tem słowie „panie" koniecznie trzeba wstawić jakiś tytuł. Powiedzieć „panie Ćwierkała" — to przecież jakoś głupio.

— Panie... panie...

Stękam przy telefonie, a przez głowę w szalonem tempie galopują mi słowa: prezesie, dyrektorze, ministrze, redaktorze, profesorze i t. d. Ale, do djabła, nie można ich tak na ślepo przyczepić do „pana". Był moment stanowiący setną część sekundy, w którym próżnię po słowie „panie" chciałem wypełnić określeniem „ładny". „Panie ładny" — ładnie brzmi, ale nie wypada. Wreszcie, oblany potem, rypnąłem na chybił trafił słowo „kierowniku".

— Panie kierowniku!

Potem już rzecz poszła gładko. Ale co najważniejsze, że się nie omyliłem. Pan Ćwierkała, jak się okazało, był dozorcą robotników miejskich. Używał biletów wizytowych z napisem:

F e l i k s Ć w i e r k a ł a
kierownik robót publ.

Najgorszy kłopot, gdy się rozmawia z artystami. Powiedzieć takiemu: panie artysto, panie pisarzu, panie malarzu — to jakoś blado. Niema w tem za grosz tej dostojności, jaka rozdyma słowa: panie prezesie lub panie dyrektorze. Czemże więc w rezultacie jest taki Paderewski, Szymanowski, Strug, Dąbrowska, Tuwim? — Zwyczajnym panem lub panią. Można mówić takim „mistrzu" (mistrzyni jeszcze się nie przyjęło), ale to dopiero przy lepszej znajomości, jako że nazwa jest nieco poufała. Jednem słowem — rozpacz. Słudzy sztuki, jeżeli przypadkowo nie są prezesami „T-wa Przyjaciół Zwierząt' lub sekretarzami „Stowarzyszenia miłośników gry na okarynie", muszą żyć bez tytułu. Los ich jest pożałowania godny. Nigdzie takiego nie chcą przyjąć, ani z nim gadać. Jak o tem zapewne państwo czytaliście, rzeźbiarz Alfons Karny, zeszłoroczny laureat nagrody artystycznej miasta Warszawy, dla ułatwienia sobie życia posługiwał się biletem wizytowym następującej treści: A l f o n s K a r n y
dyrektor i założyciel nogi
na nogę.

*

A teraz zaczepmy panie. Tutaj śmieszność tytułomanji nabiera szczególnego znaczenia. Świat męski, — jak dotąd, niestety, ciągle jeszcze uprzywilejowany, — pyszni się przeważnie tytułami własnemi, conajwyżej magją elastycznego słowa uszlachetnionemi i podniesionemi do wyższej rangi. Świat żeński natomiast, — nie mówię naturalnie tutaj o kobietach, które własnym trudem wywalczyły sobie własne tytuły zawodowe, społeczne, czy naukowe — świeci jak księżyc blaskiem cudzym. Kto nie zna, — zwłaszcza na prowincji, — tych nadętych ważnością swoich mężów pań doktorowych, inżynierowych, redaktorowych, prezesowych i t. d.! Żona jednego oficera opowiadała mi o pani majorowej, która na bilecie wizytowym, pod nazwiskiem, miała wydrukowane słowa: m a j o r o w a d y p l o m o w a n a.

Jest to niewątpliwie śmieszne. Ale i smutne zarazem. Bo jest w tem paradowaniu kobiet w płaszczach tytułów mężowskich jakaś niewolniczość, stanowiąca etyczny odpowiednik dzierżawczego charakteru tych przymiotnikowych rzeczowników: doktorowa, inżynierowa i t. d. Właśnie kobiety, — te które osobistą pracą współdziałają z mężczyzną w kształtowaniu świata — winny niemiłosiernie tępić tę pasożytniczą i niewolniczą manję strojenia się w cudze piórka. Trzeba paniom „...owym" uświadomić, że sam fakt bycia żoną choćby największego człowieka nie podnosi ich w hierachji społecznej. Każdy prawdziwy człowiek, — płeć tu nie gra roli, — winien mieć ambicję legitymowania się wobec innych własną pracą i własną zasługą. Czem się przyczyniłaś pani „...owo" do zdobycia przez twego męża tytułu? Czy nie czujesz, że ten tytuł „...owej" w pewnym stopniu właśnie cię degraduje, czyniąc przyczepką innego człowieka? Że właśnie tym tytułem podkreślasz, że sama „jako taka" nic nie znaczysz i niczem nie jesteś?

Zastanów się nad temi pani „...owo" i nie odpowiadaj w czasie rozmowy telefonicznej: — „tu mówi doktorowa X", nie wywieszaj szyldu z napisem: pensjonat inżynierowej Y, nie wymagaj, aby twoi znajomi nazywali cię profesorową Z., a w żadnym razie nie drukuj biletów wizytowych z napisem: majorowa dyplomowana. I pamiętaj jeszcze o jednem, że będąc generałową możesz moralnie i intelektualnie mniej znaczyć niż porucznikowa, będąc dyrektorową możesz być niegodną rozwiązania rzemyka u trzewika kancelistowej, a będąc inżynierową możesz nie dorastać do pięt zwyczajnej majstrowej. Bo tytuły mężów nic o tobie nie mówią. I dlatego, ani w stosunkach towarzyskich, ani społecznych, nie uzurpuj sobie uprawnień opartych na splendorach mężowskich. Bo to i nieładne i śmieszne.

Aby nie ulec pokusie, przypomnij sobie zawsze we właściwym momencie anegdotę o żonie funkcjonarjusza Kolei Państwowych, która pobiła w drzwiach żonę pracownika kolejki podmiejskiej za to, że ta, konduktorowa wąskotorowa, ośmieliła się chcieć przejść pierwsza, przed nią, przed panią k o n d u k t o r o w ą s z e r o k o t o r o w ą.

Józef Czyściecki

Przegląd polityczny

„Umarł król — niech żyje król" — raz jeszcze za naszych czasów rozlega się ten okrzyk w Wielkiej Brytanji: po ćwierćwieczu panowania zszedł z tego świata król Jerzy V, tron objął syn jego Edward VIII. Prasa codzienna przepełniona jest wiadomościami o uroczystych tradycyjnych obrzędach pogrzebowych i intronizacyjnych. Publicystyka zastanowić się musi nad zagadnieniem, czy zmiana osoby na tronie króla W. Brytanji i cesarza Indji wpłynie na zmianę polityki brytyjskiej. Opinja, utrzymująca, że zmiana taka nastąpi, że nowy król wyciśnie swoje piętno osobiste na rządach, jest, jak zdaje się, błędna. Premjer Baldwin, wygłaszając w izbie gmin mowę ku czci Zmarłego Króla, w sposób bardzo umiejętny podkreślił te okoliczności, które przemawiają przeciw możliwościom personalnej polityki monarchów angielskich. Baldwin mówił: „Za czasów panowania króla Jerzego V zakończony został proces, kto wie, czy nie najdonioślejszy dla ustroju państwa brytyjskiego, proces zespolenia monarchji z demokracją. I to jest największą zasługą króla Jerzego V. Spójnia ta — dodał kanclerz — stanowi o potędze państwa W. Brytanji i jest decydującym czynnikiem pomyślności jego ludów". Oto całkowite ujęcie zagadnienia, ujęcie, z którego wynika, że i nowy monarcha Edward VIII zamknie swoją rolę osobistą w ramach doskonalącej się nieustannie w drodze ewolucji demokracji brytyjskiej. W czasie dni ciężkiej i prawdziwej żałoby Anglji ani na chwilę nie przestała działać machina państwowa polityczna.

W dniu zgonu króla Foreign Ofice słało notę do Egiptu, wzywając zjednoczony front nacjonalistów-radykalnych egipskich do rokowań o dalszem uniezależnieniu dawnego państwa Faraonów od W. Brytanji a dossier dotyczące rokowań Anglji z państwami śródziemnomorskiemi o wzajemnej pomocy ogłoszono z inicjatywy min. Edena niemal nazajutrz po zgonie króla. Tenże minister Eden w dniu 17 stycznia wygłosił w Warwick swoją pierwszą mowę ministerjalną. Uczynił w niej znamienny przegląd wydarzeń ubiegłego roku. Na czoło tych wydarzeń zdaniem jego wysuwają się dwa fakty: zjawienie się na arenie międzynarodowej Niemiec uzbrojonych i pierwsze czynne wystąpienie Ligi Narodów przeciw wojnie. Takie ujęcie dni roku minionego wiele mówi samo przez się i jasno wskazuje orjentację polityki angielskiej pod kierunkiem Edena. Nic dziwnego też, że mowa w Warwick wywołała w prasie hitlerowskiej falę goryczy i złośliwości pod adresem nowego kierownika angielskiej polityki zagranicznej. Wierny swoim wytycznym Eden pośpieszył, pomimo dni żałoby, na 90-tą sesję Rady Ligi Narodów. Na porządku dziennym tej sesji figurował jeszcze zatarg włosko-abisyński, ale nie zajął wiele czasu i wiele uwagi zjazdowi genewskiemu. Jeszcze przed otwarciem sesji Rady pod przewodnictwem delegata Australji p. Stanley Melbourne Bruce'a komitet 13-tu, powołany przez Radę Ligi stwierdził, że zawsze jest gotów dopomóc do pojednania między stronami wojującymi w ramach paktu Ligi, że obecnie niema podstaw do jakiejkolwiek inicjatywy w tej dziedzinie ze strony Ligi; pozatem komitet odrzucił dwie petycje abisyńskie, jedną o wysłaniu komisji śledczej dla zbadania metod prowadzenia wojny i drugą o pomoc finansową dla Abisynji. Nad zagadnieniem rozszerzenia sankcji gospodarczych przeciw Włochom na naftę, bawełnę etc. nie dyskutowano, podzielając najwidoczniej słuszność popularnej anegdoty Eden'owi, iż sankcje naftowe są zbyteczne, gdyż wystarczą... sankcje deszczowe. Ten przebieg sprawy abisyńskiej na ostatniej sesji Rady sprawił znowu przykrą niespodziankę polityce Mussolini'ego, który już zawczasu z błogosławieństwem Papieża zgodził się na abisyński wniosek o komisji śledczej na terenie działań wojennych. Zdawało mu się, że raz jeszcze uda mu się wciągnąć działaczów Ligi Narodów na teren śliskich i formalnych dyskusji, które kończą się ogłoszeniem przez rzeczoznawców obszernej księgi tego lub innego koloru tęczy. Liga nauczona gorzkiem doświadczeniem słynnej komisji Lyttona w Mandżurji wolała powziąć przykrą dla Abisynji odpowiedź odmowną, niż rozpocząć t. zw. inwestygacje, które dają okazję do obłudnych wystąpień i do... powiedzmy bez ogródek... szacherek. Nie będzie komisji śledczej. Nie będzie także pożyczki pod gwarancją Ligi Narodów dla Abisynji. Tem lepiej, niechaj złoto międzynarodowe nie przykleja się pod egidą Ligi Narodów do krwi, która leje się na pustyniach, wąwozach i górach abisyńskich! Robi to złą krew w ośrodku rządów faszystowskich. Tak pięknie było wszystko przygotowane! Z jednej strony szlachetna zgoda na śledztwo międzynarodowe, z drugiej... olśniewające zwycięstwa na froncie somalijskim, Laval jeszcze obecny w Genewie... Zdawało się, że a nuż, coś z tego da się skleić. Przed samym odjazdem z Genewy b. premjer francuski delikatnie wspominał, że przecież doprowadzenie do pojednania, do którego zmierzał on przez cały czas, stanowi właściwe zadanie Ligi Narodów. Nic z tego nie wyszło. Organy Ligi zbyły całą sprawę krótko i węzłowato, bez wielkiej elokwencji. Kto wie, czy w tym momencie nie jeden faszysta nie przeczytał ostatniego artykułu uczonego antyfaszysty, chluby narodu i nauki włoskiej, prof. Guglielmo Ferrero, który zastanawiając się niedawno nad obecną wojną, zauważył, że dawniej, gdy wojny wypowiadali i prowadzili ludzie kompetentni, nie wysuwali nigdy maksymalistycznych celów. Rzymianie (o nich zapewne myślał badacz dziejów starego Rzymu) mawiali: eventus belli semper dubium est (wynik wojny nigdy nie jest pewny). Dlatego więc nie można sobie odcinać drogi przez maksymalizm żądań wobec przeciwnika. Dziś widzimy zupełnie coś przeciwnego: Mussolini proklamował à priori rozbiór Abisynji, przeciął mosty, uniemożliwił medjację i pojednanie, o ile ich ktoś nie rozumie à la Laval - Hoare. W tych warunkach wędka na komisję śledczą, z której mogło by się coś zrodzić dla Włoch musiała zawieść. Nie mogły też wywrzeć wrażenia komunikaty urzędowe o wielkiem zwycięstwie wojsk gen. Grazieni'ego na froncie południowym. Bajeczny rajd kawaleryjski armji włoskiej — dragonów i ułanów w głąb krainy Galla - Borana, rajd oderwany o 700 klm. od głównych sił na froncie południowym przy jednoczesnem rozpaczliwem targaniu się z wojskami abisyńskiemi wciąż dokoła tego samego Makalle na froncie północnym nie mógł na mężów stanów wywrzeć żadnego wrażenia. Uwaga ich ześrodkowała się na zupełnie innej części globu: na wyczynach hitlerowskiego senatu wolnego miasta Gdańska. Raport wysokiego komisarza Ligi w Gdańsku Seana Lester'a przedstawił stan rzeczy w wolnem mieście z całym realizmem i całą otwartością. W jednym z ustępów raportu p. Lester'a zwrócono w sposób możliwie delikatny uwagę, że szefem partji narodowo-socjalistycznej w Gdańsku jest pan Albert Forster, który nie jest obywatelem gdańskim, w październiku 1934 r. Zażądał on od senatu gdańskiego zawieszenia pism opozycyjnych w stosunku do senatu (wówczas już narodowo-socjalistycznego), rozwiązania partji i organizacji opozycyjnych nie tylko socjalistycznych i centrowych, ale nawet narodowo-niemieckich, rozwiązania związków robotniczych i uwięzienia księży katolickich, występujących przeciw partji narodowo-socjalistycznej.

Ogromną i zasadniczą większość żądań p. Forstera usiłuje wprowadzić w życie senat p. Greisera. Nie obwijając w bawełnę genewskiego języka treści raportu p. Lestera, wynika zeń poprostu, że w wolnem mieście Gdańsku rządzi delegat niemieckiej partji narodowo-socjalistycznej p. Förster i że senat p. Greisera stanowi powolne narzędzie w jego ręku, nie licząc się z przepisami gwarantowanej przez Ligę Narodów konstytucji gdańskiej.

P. Lester w sposób bardzo kurtuazyjny ostateczny swój wywód redaguje tak: „P. Förster oświadczył w przemówieniach, wygłoszonych publicznie w Gdańsku, że pracuje na rzecz polityki Adolfa Hitlera, szefa partji narodowo-socjalistycznej, prezydenta i kanclerza Rzeszy Niemieckiej. Cały wpływ jego w Gdańsku opiera się na tem właśnie jego stanowisku. A prezydent senatu w. m. Gdańska Greiser — wywodzi dalej p. Lester — oświadczył dnia 27 listopada 1935 r.: „My, narodowi socjaliści, odchodzimy, kiedy dostajemy rozkaz i pozostajemy, kiedy nam każą. Słuchamy wyłącznie naszych przywódców..." Pan Greiser partyjnie podwładny jest p. Försterowi, ten zaś kanclerzowi Hitlerowi... Wobec tego wysoki komisarz Lester daje Lidze Narodów do odgadnięcia zagadkę „nierysunkową", kto rządzi w wolnem mieście Gdańsku? Jeżeli zestawi się ten rzeczowy raport Lestera z mową min. Edena w Warwick, wtedy dopiero będziemy mieli obraz sytuacji europejskiej ze stanowiska angielskiego. Obraz ten jest nie tylko ciekawy, więcej, jest on emocjonujący; przychodzi tylko myśl, dlaczego tak późno zjawia się ów skalpel politycznego chirurga brytyjskiego. Skoro jednak zjawił się i dokonał wiwisekcji, to trzeba umieć stąd wyciągnąć wnioski. Rada Ligi Narodów załatwiła „sprawę" elegancko po genewsku: panu Greiserowi polecono zmienić pewne ustawy gdańskie i zapowiedziano kontrolę sprawowania się senatu; cenzurka będzie wystawiona na następnej sesji za 3 miesiące. Podsądnym był właśnie nie p. Greiser, a sam kanclerz Rzeszy, który przekonał się przy tej okazji, że samo uroczyste wystąpienie z Ligi Narodów nie ratuje go od sądu międzynarodowej opinii publicznej. Pozostawmy jednak w danym razie procedurę genewską i jej nieodzowne właściwości na stronie, wyprowadźmy wnioski o stanowisku W. Brytanji. Dadzą się one sformułować krótko: Anglja uważa zamach na bezpieczeństwo zbiorowe, płynące z wojny włosko-abisyńskiej za odparty chwilowo, natomiast tak jak ongiś, za czasów Edwarda VII, widzi rosnącą groźbę dla pokoju w zbrojeniach i planach niemieckich. Raport Lestera i uchwały genewskie — to spokojne dżentelmeńskie ostrzeżenie. Przychodzi ono akurat w porę, bo sukcesy przedstawiciela partji nacjonal-socjalistycznej Forstera z Gdańska stanowią jedyne aktywa działalności tej partji w charakterze rządu III Rzeszy... Niedawno min. Göbbels w przemówieniu na zebraniu partyjnem w Berlinie twierdził, iż czynienie partji nacjonal-socjalistycznej zarzutu, iż nie urzeczywistniła swego programu, jest poprostu nieuczciwem, bo przecież przywrócono prawo Niemiec do zbrojeń i wcielono z powrotem Saarę do Rzeszy, masło, którego brakowało przed paru tygodniami już jest w sklepach, czego więc właściwie można jeszcze żądać... Zestawienie tych osiągnięć z programem partji w dziedzinie polityki zagranicznej rzczywiście wygląda niemile dla rządu kanclerza Hitlera. A gdyby tak miało być dalej, nie można by się dziwić, że do tego bilansu chcianoby dopisać jeszcze jakąś możliwą zdobycz, choćby w postaci uzyskania na razie bez sankcji międzynarodowej suwerenności partji rządzącej w Niemczech na terenie wolnego miasta Gdańska. I w tym właśnie momencie w Genewie powiedziano, że te zamiary nie mogą być urzeczywistnione, a p. Greiser, podwładny p. Förstera musiał podziękować i oświadczyć, że choć z ciężkiem sercem, ale podda się nie decyzjom, broń Boże, ale t. zw. sugestjom czy zaleceniom genewskim.

Veto rzucone pod adresem Italji tym razem rozległo się w Genewie pod adresem formalnie nieobecnej III Rzeszy Niemieckiej via Gdańsk. Nie było już przy tem obrotnego premjera i min. spraw zagranicznych Francji p. Lavala, którego stopniowa likwidacja od chwili upadku Hoare'a w Londynie pomimo chwilowych sukcesów w Izbie Deputowanych była nieuchronna. Partja radykalna nie mogła zagwarantować p. Laval'owi dalej swego poparcia. Na jej czele zamiast t. zw. Edwarda I — Herriot'a stanął Edward II — Daladier. Przechyliła się ku lewicy społeczno-politycznej grupa decydująca od wielu lat o obliczu rządów francuskich. Do władzy doszedł gabinet p. Sarraut'a, w którym ministrem bez teki reprezentującym Francję w Genewie jest p. Paul Boncour. Oznacza to, że w polityce międzynarodowej Francja nie potrzebuje już nadmiernej zręczności Lavala, który lawirował przez wiele miesięcy, aż począł zawijać do przystani Mussolini'ego. Ten „port" nie jest Francji potrzebny.

Chociaż to wydaje się gdzieniegdzie nieprawdopodobnem i niewiarogodnem, ale w rzeczywistości interesy Anglji rozwijają się w obecnym momencie dziejów równolegle do interesów Związku Sowieckiego, a co zatem idzie umacnia się konstelacja państw stronników t. zw. systemu zbiorowego bezpieczeństwa, której przeciwnicy gromadzą się w obozie państw t. zw. totalnych. Stąd zbliżenie daleko idące francusko-angielskie, koło którego ześrodkowuje się czynna polityka na rzecz pokoju, przeciw wojnie, przeciw polityce zaborczej i awanturniczej. Odczuły to i państwa mniejsze.

Podczas gdy „Popolo d'Italia" spisywało listę rosnącą rzekomo stronników Włoch i z przesadą dojrzało tam „młodzież wszystkich krajów" Austrji, Węgry i Albanję, całą Amerykę Południową i t. d., w rzeczywistości mała Austrja czując, co się święci, wydelegowała swego kanclerza Schusschnigga do Pragi Czeskiej, aby nawiązać kontakt z Czechosłowacją, a więc z jednym z nieodłącznych ogniw systemu genewskiego, któremu Włochy przeciwstawiają się. Podróż praska kanclerza Austrji w tym momencie jest bardzo znamienna i świadczy o tem, jakie zmiany dokonywują się na świecie, by na to zamknąć oczy, rozwierając je szeroko tam, gdzie naprawdę nic poważniejszego nie zachodzi. Do takich przesadnie gdzieniegdzie potraktowanych faktów należy zerwanie przez Urugwaj stosunków z Z.S.R.R. Rząd w Montevideo twierdzi, że uczynił to dlatego, iż poseł sowiecki Minkin organizował akcję rewolucyjną „rycerza nadziei" Caballero dell Esperanza Karola Luiza Prestesa w Brazylji. Zaś rząd sowiecki twierdzi, że zerwanie nastąpiło dlatego, iż Moskwa nie chciała nabyć odpowiedniej ilości sera urugwajskiego, którego ta republika ma u siebie za dużo. Kto ma rację, nie wiadomo, jednakże trzeba przyznać, że ten kto w owej walce papierowej o „ser" czy przeciw „rycerzowi nadziei" widzi zorzę najbliższych dni świata, napewno myli się. Niechaj odwróci głowę o 180 stopni i spojrzy na Ateny, gdzie król Jerzy II musi poskramiać zaciekłych reakcjonistów stronników dyktatora gen. Kondylisa, a jednocześnie przyjmuje delegację komunistów greckich, deklarujących lojalność wobec nowego ustroju prawnego w Helladzie, tam raczej dojrzy oprócz wymowy dni naszych zapowiedzi przyszłości i linje rozwoju wydarzeń.

t. r.

Pracownicy monopoli państwowych
przeciwko ubezpieczeniom społecznym

Do Ministerstwa Opieki Społecznej skierowany został memorjał związków pracowników monopolów państwowych w sprawie znowelizowania przepisów o ubezpieczeniach społecznych dla tej kategorji pracowników. Pracownicy ci domagają się wyłączenia ich z pod przymusu przynależności do ubezpieczalni społecznych, wskazując, że opłacane przez nich składki nie pozostają w stosunku właściwym do uzyskiwanych świadczeń.

Tego rodzaju stanowisko związków pracowniczych uważamy za szkodliwe dla całokształtu ubezpieczeń społecznych w Polsce. Wskazane argumenty w wystąpieniu nie wytrzymują krytyki. W ten sam aspołeczny sposób może motywować walkę z ubezpieczeniami społecznemi pierwszy lepszy „oszczędny" lewjataniec.

Czy to się godzi związkom pracowniczym składać takie memorjały w okresie zorganizowanej nagonki kapitału na tę jedną z nielicznych w Polsce instytucyj sprawiedliwości społecznej? Omikron

W Belgji podwyższają płace

Rząd belgijski postanowił z dniem 1 stycznia r. b. przeprowadzić podwyżkę pensyj dla urzędników państwowych.

Tak więc wszyscy urzędnicy pobierający płacę do 10.000 franków rocznie (około 9.000 zł.) otrzymali 5% podwyżkę. Urzędnicy, pobierający wyższe wynagrodzenie roczne mają otrzymać podwyższenie pensji od 1 kwietnia r. b.

EUSTACHY CZEKALSKI

Sześćdziesiąt lat życia
politycznego i towarzyskiego

Pamiętniki Bogdana Hutten-Czapskiego wzbudziły żywe zainteresowanie w Polsce. Ale i w Niemczech wywołały już liczne echa w prasie. Niewątpliwie te tysiąc stronic z górą druku dużego formatu zaważy na kształtowaniu się sądów o rządach kanclerza Hohenlohego, Capriviego, Bülowa, Bethmana-Hollwega. Opinję polską mocniej poruszą dzieje okupacji niemieckiej. Hr. Hutten-Czapski, związany słowem cesarskim Wilhelma II-giego, współdziałał na terenie Warszawy, jako doradca gen. Beselera, w realizacji państwa polskiego. Jak odbywała się ta żmudna, najeżona przeszkodami zasadzkami, praca mówią nam tak dokumenty, listy, jak i uwagi autora tych wspomnień. Dla nas polaków, pamiętających metody polityki niemieckiej i pruskiej, księgi te są wysoce cenne. Napisane zostały przez człowieka, ufającego słowu cesarskiemu, rzecznika porozumienia polsko-niemieckiego: chce on jeszcze i teraz wierzyć i sugerować swój optymizm oraz dobrą wolę. Niestety, dokumenty i wydarzenia zawierają wymowę innej, przeżytej przez nas rzeczywistości. Realista polityczny, zamknięty w ramy niemieckiej racji stanu, usiłował na tej płaszczyźnie prawnej znaleźć możliwości współżycia dwóch narodów. Chciał być lojalnym poddanym Króla Pruskiego i zachować swoją polskość i religję. Obdarzony talentami dyplomatycznemi, nie znalazł pola do pracy oficjalnej. Za kulisami za to działał nad wyraz intensywnie. Utrzymywał stosunki z wieloma kierownikami polityki europejskiej.

Szczególnie na terenie Włoch, Rumunji i Watykanu bywał mężem zaufania i wypełnił wiele misji dyskretnych. W polityce Rzeszy potrafił odgrywać rolę znacznie większą, niż tę, którą mu wyznaczało stanowisko dziedzicznego członka Pruskiej Izby Panów. Patrzył na stosunki ze strony pałacu kanclerskiego, był blisko z ludźmi dworskimi i znajdował się w świcie Wilhelma II-giego.

Powstaje pytanie czy udało mu się, choć raz usunąć jakieś niebezpieczeństwo, grożące żywiołowi polskiemu? Trzeba zapisać na korzyść autora, iż nie popisuje się swemi zdobyczami. Notuje raczej niepowodzenia w tej dziedzinie, choć ani na chwilę nie opuszcza go wiara w skuteczność swoich wyobrażeń o konieczności wyrównania różnic prusko-polskich.

Nie dla tych mniemań zresztą czyta się z wielką ciekawością wspomnienia z sześćdziesięcioletniej działalności Bogdana Hutten-Czapskiego. Psychika jego, jako Polaka, nastręcza wiele pytań, choć stoi on zawsze i zatrzymuje się na linji gentlemana. Pozostaje zagadka wychowania i obcowania w środowisku obcem, niezwykła elastyczność i niestrudzoność działania. Znajduje on czas i pamięć, by nawiązanych stosunków nie przerywać. Prowadzi wielkie życie towarzyskie. Uczęszcza do salonów, korzysta z każdej okazji, by wzbogacić się jakąś obserwacją lub wiadomością, dającą mu przewagę wobec czynników decydujących. Zręczność jego pióra i sztukę negocjacji ceni wysoko książę Hohenlohe! Bethmann-Hollweg odzywa się również chwalczo i z uznaniem dla talentów pana na Smogulcu. Hrabia Hutten-Czapski umie sobie pozyskać nawet Bülowa, nagół niedowierzającego „jezuicie".

Ma on stosunki z wielkim przemysłem. Jest w przyjaźni z magnatem śląskim Donnersmarkiem. Ballin, twórca wielkiej floty handlowej niemieckiej, czuje się zaszczycony możnością przebywania w kole przyjaciół hrabiego Huttena. Licznie cytowana korespondencja wskazuje, że i z głowami panującemi książąt Rzeszy bywał na stopie przyjacielskiej. Hindenburg, Mackensen, Holstein, Kiderlen, miarodajne osobistości cesarstwa niemieckiego piszą, zwierzają się hrabiemu Hutten-Czapskiemu. Szara ekscelencja polityki zagranicznej czasów pobismarkowskich, tajny radca Holstein, pozwala mu wglądać w akta swego urzędu i używa do różnych robót subtelnych i dyskretnych.

Domena spraw, w której autor czuje się najlepiej, to stosunki Watykanu z Berlinem. Ale i w tej dziedzinie zagadnienie kościelne polsko-pruskie wiąże się z ogólnym stanem polityki, nie zaś z naszą, wyłącznie naszą racją stanu. Hr. Hutten Czapski był i pozostał dobrym katolikiem, wysoko cenionym w pałacach Watykanu, odznaczonym i wyróżnianym przez szczególne łaski kilku Papieży. Daje on znakomite charakterystyki książąt kościoła! Wogóle ilekroć autor kreśli sylwety ludzi, z którymi współpracował, okazuje niezwykłą czujność, subtelność i umiejętność we właściwym sądzie i przenikliwej obserwacji. Zalety to duże! One to zapewne umacniały jego pozycję polityczną i towarzyską w Berlinie! Hrabia Hutten-Czapski był znawcą ludzi i potrafił używać właściwych metod postępowania, by współżycie z nimi kształtować odpowiednio do swoich umiejętności, do swojej sztuki bycia i działania. Pod tym względem pamiętniki jego nadają się szczególnie na lekturę dla młodych dyplomatów.

Autor polskiego czytelnika interesuje szczególnie, gdy opisuje genezę i fakt powstania patentu cesarzy Niemiec i Austrji o erekcji Państwa Polskiego. Nie tai właściwych pobudek niemieckich: chodziło o zdobycie nowych kilku dywizji bitnego żołnierza! W tem świetle patent ten wygląda, jako pułapka, bo o realizację państwa polskiego niewiele się trudzono. Raczej przeciwnie, robiono wszystko, by utrudnić przejęcie administracji. Hr. Hutten-Czapski nie ukrywa i tych udręk, bo, jako doradca Beselera, obstawał przy szerokim uwzględnieniu życzeń polskich. Beseler, przedstawiony w pamiętniku za idealistę — wołał jednak rady niemieckiego szefa policji, niż cesarskiego doradcy. Podobno kazał aresztować Marszałka Józefa Piłsudskiego właśnie na skutek raportu tego niemieckiego prokuratora! Co więcej, posunął się do sfałszowania motywów uwięzienia! Hr. Hutten-Czapski przy tej okazji pisze kilka przykrych uwag pod adresem szefa policji, co jest dosyć enigmatyczne, gdyż Komendant był aresztowany na wyraźny rozkaz „idealisty" Beselera. Autor podał jeszcze jeden ciekawy motyw aresztowania: było nim, jakoby współzawodnictwo. Beseler chciał, by Polska wszystko zawdzięczała jemu! Przed tem mówił nam Hr. Hutten-Czapski, że warszawski generał-gubernator, von Beseler wyróżniał się wśród swoich kolegów jawną i konkretną głową! Logika wydarzeń wykazała, że nie różniła się jego głowa od wielu głów niemieckich z tych czasów, opanowanych żądzą zwycięstwa za wszelką cenę. Dla nas nie mieli oni zrozumienia, ale też i nie bardzo orjentowali się w wymowie faktów dziejowych.

Pamiętniki B. Hutten-Czapskiego, jako niemieckie naświetlenie wielkich wydarzeń z epoki wojny, wymagają polskiej korektywy. Naszą rację stanu reprezentował i wcielał bez reszty Józef Piłsudski! Oddać trzeba sprawiedliwość, iż autor odzywa się w swym pamiętniku sympatycznie o budowniczym Państwa Polskiego. Jest to jednak głos i ocena post factum!

Miłośnicy materjału narracyjno-obyczajowego w księgach Hr. Hutten-Czapskiego znajdą wiele stronic z opisem różnych pomp dworskich, uroczystości cesarskich, zjazdów monarszych. Niezwykle bogata galerja osobistości historycznych podnosi zainteresowanie tych wysoce ciekawych wspomnień, zebranych przez sześćdziesiąt lat działania na terenie politycznym cesarskich Niemiec.

Eustachy Czekalski

IRENA KRZYWICKA

W teatrze

„Żołnierz i bohater" Shawa w Teatrze Małym przekroczył tryumfalnie liczbę stu przedstawień. Publiczność warszawska zdała na piątkę egzamin z inteligencji. Tak zresztą zwykle bywa: Warszawa lubi Shawa, ma do niego jakiś bliski, bezpośredni, stosunek, możnaby powiedzieć, że jest z nim na intymniejszej stopie, niż rodowici Anglicy. Shaw niezmiernie wiele zdziałał dla rozjaśnienia i wygimnastykowania naszych mózgów, ma też zapewnione specjalne miejsce w historji polskiej kultury.

„Żołnierz i bohater" to komedja nietylko wyjątkowo zabawna i zajmująca, ale szczególnie pożyteczną właśnie w dzisiejszym momencie. Żyjemy w okresie szczególnie fałszywej oceny pewnych wartości. Siła chamstwo, okrucieństwo i bezwzględność, jawne pomiatanie zdobyczami cywilizacji i pogarda dla niezależnej myśli — oto hasła dnia, które na szczęście w Polsce nie rozpanoszyły się jeszcze nadmiernie, choć przesączają się do nas coraz intensywniej. Stara, ale szczególnie dziś aktualna komedja Shawa, może mieć duże znaczenie profilaktyczne.

O cóż w niej chodzi? Przedewszystkiem o bardzo ironiczne prześwietlenie cnót cywilnych i wojskowych. Rzecz dzieje się w małem imaginacyjnem państewku i jest właśnie wojna. Na samym początku sztuki młoda panna entuzjazmuje się narzeczonym swoim, bohaterem chwili, wojskowym, który dzięki niezwykłej brawurze i pogardzie śmierci wygrał bitwę. Wkrótce potem jakaś zbiedzona postać wkrada się przez okno do panieńskiego pokoju. Klasyczny typ tchórza, który zbiegł z pola bitwy. Nie wstydzi się zresztą swego postępku, wypowiada myśli które dreszczem przejmują patrjotyczną panienkę. Zresztą jak się w dalszym ciągu okazuje, on jest właśnie wzorowym wojskowym, żołnierzem z powołania i z kwalifikacyj, podczas gdy rzekomy bohater, o którym była mowa z początku jest tylko tępym głuptakiem nie zdającym sobie sprawy z prawideł gry wojennej i z niebezpieczeństwa. I jeszcze jeden skręt: tenże bohater z przypadku, jest z tradycji i wychowania i pochodzenia rycerzem, a w gruncie rzeczy dobrodusznym mieszczuchem, podczas gdy ów z pierwszego aktu, jest to twardy i bezwzględny „silny człowiek" z pochodzenia łyk, hotelarz szwajcarski. Shaw bawi się przestawianiem hierarchij, względnością ustalonych poglądów. Ze szczególną lubością odsłania kulisy prawdziwego i rzekomego bohaterstwa, sprawności życiowej wyższej ponad brawurą na polu bitwy. Sławi inteligencję ludzką, jako wartość najwyższą i jedynie niezawodną. Słuchanie tej komedji to prawdziwa rozkosz.

W Małym Teatrze idzie sztuka młodego francuskiego autora Anouilh'a p. t. „Był sobie więzień". Maluje ona wstrętne kapitalistyczne środowisko, gdzie kobiety są puste, bezmyślne i bez serca, mężczyźni nieludzcy i bez skrupułów, wszystko zaś skryte pod blichtrem elegancji. Do takiego domu wraca po piętnastu latach więzienia przemysłowiec, którego „powinęła się noga". Autor daje nam do zrozumienia, że gorsi od niego chodzą na wolności. Być może, ale to jeszcze słaby tytuł do naszej sympatji. Zręczny czy niezręczny złodziej, zwłaszcza taki, który nie kradnie z rozpaczy, ale z ordynarnej chęci zysku, nie budzi naszego współczucia, choćby mówił najwznioślejsze frazesy. Więzień Anouilh'a ze zdumieniem spostrzega, iż ludzie żyjący na wolności są często bardziej jeszcze skrępowani, niż za kratami więzienia. Są w szponach interesów, żony, konwenasów, wygody, pieniędzy, własnych głupstw życiowych. Zbuntowanemu, który chce rzucić wszystko i iść prosto przed siebie, grozi dom warjatów, czyli jeszcze srośsze zamknięcie. Ta myśl jest ładna i pociągająca, choć nie nowa. Naprawdę genjalnie, na najwyższym stopniu artyzmu, zobrazował ją Réné Clair w swoim niezapomnianym filmie: „Niech żyje wolność". Anouilh nie sięga, ani tej głębiny, ani tego dowcipu, przytem bohater jego jest antypatyczny. A jednak warto tę sztukę zobaczyć, choćby poto, aby połączyć się w myślach z autorem. Lepsza jest sztuka, rewoltująca mylnie postawionym problematem, niż taka, która wcale nie daje do myślenia.

Irena Krzywicka

Brzydkie chwyty
„Frontu Robotniczego"

„Front Robotniczy", organ prasowy Z. Z. Z., umieścił w Nr. 3 z roku bież. w rubryce „Ubezpieczeniowcy" notatkę, zatytułowaną „Zmieniają się ludzie"... W notatce tej czytamy m. in., co następuje:

„...Nareszcie djabli wzięli szefa jaczejki szpiclowskiej w U. S. w Warszawie — p. Turobińskiego, czołowego działacza związku p. Domańskiego. Działał on pod czułym protektoratem niektórych dygnitarzy. Dzięki tej mafji niejeden pracownik utracił posadę. Zwykłym sposobem było fałszywe denuncjonowanie niewygodnych mafji pracowników, jako komunistów..."

Najniewątpliwiej mianowanie przez „Front Robotniczy" p. Turobińskiego „czołowym działaczem związku p. Domańskiego" opiera się na wywodzie logicznym tej samej wartości, jak ten, któryby twierdził, że właściciel domu musi być osobistym przyjacielem policjanta, pełniącego służbę przed tym domem dlatego, że policjant wykonywa swe czynności służbowe właśnie tam, a nie gdzieindziej. Można i tak...

W innej znowu notatce w tej samej rubryce „Front Robotniczy" uznał za właściwe nazwać członków Związku Zawodowego Pracowników Ubezpieczeń Społecznych w Polsce „domaszczakami".

Utrzymanie i nadal przez „Echo Społeczne" dotychczas używanego przez nas słownictwa języka polskiego tłumaczymy tem, że pocieszną książkę Wiecha „Znakiem tego..." bynajmniej nie traktujemy jako oficjalne wydawnictwo Polskiej Akademji Literatury, mogące uzasadniać stosowanie przez organ prasowy Z. Z. Z. nowotwory językowe. Z tego przeto względu nie piszemy „moraczewszczaki" lub „szurig...wniarze".

Literatura o Izbach Pracy

Wobec powszechnego zainteresowania zagadnieniem izb pracy podajemy wykaz prac z tej dziedziny. Oto one:

1. Dr. M. Bornstein-Łychowska — Izby pracy, nakład Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, 1927 r.
2. Władysław Landau (przedmowa prof. Ludwika Krzywickiego) Izby pracy, nakład Instytutu Gospodarstwa Społecznego. Warszawa, 1932 r.
3. Henryk Rygier — Izby pracy, nakład Polskiej Składnicy Pomocy Szkolnych, Warszawa 1932 r.
4. Jerzy Wengierow — Izby pracownicze, nakład Ministerstwa Opieki Społecznej, 1934 r.
5. Leonard Korgowd — O izbach pracy, nakład Poznańskiej Rady Okręgowej Unji Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych. Poznań, 1935 r.

CENY OGŁOSZEŃ: Za miejsce wysokości 1 milimetra w jednej szpalcie: na str. 1-ej zł. 1.—; w tekście 70 gr.; za tekstem 50 gr. **Nekrologi** po 20 gr., najmniejszy nekrolog 20 zł. Ogłoszenia cało i półstronicowe wg. cen specjalnych. Ogłoszenia tabelaryczne o 25% drożej. Ogłoszenia w kolorze o 50% drożej. Nieumieszczenie ogłoszenia nie obowiązuje Administracji do podawania powodów. **Redakcja rękopisów nie zwraca.**

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. **PRENUMERATA:** roczna zł. 4.50. **Konto wydawcy w P. K. O. 21670.**

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, Czackiego 14, tel. 269-40**

Redaktor Naczelny i odpowiedzialny: **Juljusz Domański.** Wydawca: **Zarząd Główny Zw. Zaw. Prac. Ubezp. Społ. w Polsce**

2543 Druk Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.